

*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07*

# Zofia Kaczorowska

## Podróż w żałobie

---



# I

---

Stefan Karkowiak wysiadł z pociągu na skąpo oświetlonej podwarszawskiej stacji i szybkim krukiem skierował się ku wyjściu, prowadzącemu bezpośrednio na drogę. Mimo panującego w ciągu ostatnich dni ciepła, sierpniowy wieczór był chłodny, pełen ostrych podmuchów wiatru, wciskających się nieprzyjemnie za kołnierz marynarki. Karkowiak przystanął, włożył wiatrówkę, którą przezornie zabrał ze sobą, i starannie zapiął wszystkie guziki. Ostatniej zimy, w czasie stałych dojazdów do pracy, nabawił się zapalenia płuc i od tej pory zaczął dbać o swoje zdrowie. Zresztą Wira Zawsze pamiętała o tym, żeby był ciepło ubrany.

Wtapiając się w ciemność panującą wokół stacji mimo woli pomyślał o niej z rozczuleniem. W ciągu trzech lat ich małżeństwa nie zdążył się jeszcze przyzwyczać do cudu, jakim było posiadanie tej kobiety, powolnej, oddanej, okazującej mu tyle przywiązania i uczucia. Na pewno nie zasłużył sobie na tyle szczęścia, toteż fakt, że Wira zgodziła się zostać jego żoną, wydawał mu się stale niespodziewanym uśmiechem losu.

Szedł dobrze znaną sobie drogą szybkim i pewnym krokiem, mimo że mrok rozpraszały tylko z rzadka rozstawione latarnie, sączące mdlawe, żółtawe poblaski. Na jego twarzy, nawykłej do panowania nad wszelkimi odczuciami, rysował się spokój, ale wewnątrz, gdzieś w okolicy serca, czuł ucisk, spowodowany niejasnym, ale od dawna w nim zagnieżdżonym podejrzeniem, że w Spółdzielni Pracy „Szlachetny Szlif, w której od dziesięciu przeszło lat sprawował funkcję prezesa zarządu, nic dzieje się dobrze. Wprawdzie pozornie praca szła sprawnie, zamówienia wykonywano terminowo, rachunkowość prowadzona przez wykwalifikowaną główną księgową, Barbarę Matycką, nic wykazywała nadzwyczajnych strat ani nadmiernych zysków, rzutujących niekorzystnie na bilans zakładu, ale Karkowiak podświadomie wyczuwał, że wokół niego rozgrywają się sprawy, które nie powinny mieć miejsca, i na które jako rzetelny i dbały o dobre imię firmy kierownik nie powinien być pozwolić. Na przykład stwierdzonym faktem było, że kilku pracowników bez jego wiedzy i zgody zostaje po godzinach na terenie zakładu i mimo zwróconej im uwagi kontynuuje te praktyki. Domyślał się, że chodzi im najprawdopodobniej o prywatne „fuchy”, gdyż ani wysokość planu, który w tym kwartale był już w osiemdziesięciu procentach wykonany, ani realna wysokość zamówień kooperujących ze spółdzielnią kontrahentów, nie uzasadniały pracy w godzinach nadliczbowych, a tym bardziej nocnych. Na tego rodzaju niesubordynację i łamanie regulaminu służbowego Karkowiak nie mógł i nie chciał się godzić wiedząc, że dalsze tolerowanie takiego stanu rzeczy podkopie jego autorytet w oczach rady spółdzielni. Na razie nie wiedział o tym nikt oprócz niego i dozorca Staszaka, który właśnie poinformował co niedawno, że „panowie pracują W nocy, palą papierosy i jeszcze ogień zaprósza, a on za to nic myśli odpowiadać”.

Tego wieczoru Karkowiak postanowił naocznie sprawdzić, co się dzieje na terenie zakładu. Pojechał pociągiem, chociaż zwykle dojeżdżał do pracy własnym „maluchem”, na eksploatację którego nawet nie wykorzystywał przysługującego mu ryczałtu. Ten „maluch” był przedmiotem drwin całego personelu, jako że zaopatrzeniowiec miał dużego fiata, nie mówiąc już o kierowniku technicznym, który był właścicielem srebrnej skody. Dzisiaj Wira poprosiła go o samochód, gdyż wybierała się na spotkanie z koleżanką ze szkolnej ławy, więc musiał skorzystać z publicznego środka lokomocji.

W miarę zbliżania się do spółdzielni, której budynek zaczynał już zarysowywać się pośród nielicznych drzew i krzaków, Karkowiak czuł coraz bardziej rosnący w nim gniew i niezadowolenie. Nie znosił, kiedy podlegli mu pracownicy postępowali samowolnie, lekceważąc ustalone przez niego rygory. Był kierownikiem władczym i apodyktycznym, ale we własnym przeświadczeniu sprawiedliwym i dbałym nie tylko o interes publiczny, ale i o dobro zatrudnionych ludzi. Wszelkie jednak przekroczenia natury dyscyplinarnej budziły w nim bezwzględny sprzeciw, nieomal raniąc jego ambicję. Choć zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju postępowanie wyrobiło mu wśród pracowników' renomę śmiesznego pedanta, chorującego na przerost odpowiedzialności, nie chciał i nie umiał zachowywać się inaczej. Od dawna Już, od chwili, kiedy rozpoczął „nowe życie” — porządek i dyscyplina zaczęły odgrywać dominującą rolę we wszelkich jego poczynaniach, przesłaniając niekiedy rzeczywisty obraz rozgrywających się wokół niego spraw. Spółdzielnię „Szlachetny Szlif” uważał po trosze za swoje własne, starannie wychowane i wypielęgnowane dziecko, którego należy strzec i bronić za każdą cenę, aby nie dopuścić do obniżenia jej rangi w spółdzielczym świecie.

Dzięki niemu został wybudowany len duży. prostokątny budynek, zapewniający godziwe warunki pracy, umożliwiające przestrzeganie przepisów bhp; rozszerzono bazę socjalną,; wyposażono hale produkcyjne w zagraniczne narzędzia i maszyny z importu. W przyległym małym pawilonie o białych ścianach założono poradnię profilaktyczną—zachowawczą. zainstalowano gabinet dentystyczny, a nawet — za zgodą przychylnej poczynaniom prezesa jednostki nadrzędnej zakupiono w Górach Świętokrzyskich niewielki obiekt zamieniony na bazę turystyczno—wypoczynkową dla zespołu pracowniczego. O wszystko to zadbał Karkowiak osobiście, choć niejednokrotnie musiał walczyć jak lew. Robił to z całym samozaparciem. Jednego tylko wymagał: załoga musiała być twarda, zahartowana w pracy i wysiłku, a jednocześnie karna i sumienna.

— Dobry wieczór, panie prezesie —dozorca Staszak wysunął się z mroku jak zjawa, przygniatając pospiesznie obcasem niedopałek papierosa. — Znowu są tutaj — dodał konfidencjonalnie. — Dobrze, że pan prezes przyszedł. to sam zobaczy.

—Dawno są?

— Jakieś dwie godziny.

Karkowiak wszedł przez, mały kantorek, w którym wisały zegary kontrolne, do dużej, pustej i ciemnej hali. Nikogo tu nie było. ale w przyległym pomieszczeniu paliło się światło i rozlegał się świst, charakterystyczny dla pracy szlifierek. Karkowiak zobaczył trzech mężczyzn pochylonych nad stołami. —A więc Wilczek, Kazjer i Podkova" — pomyślał.

— Co to znaczy, moi panowie?! — powiedział, podnosząc głos. aby przekrzyczeć wibrujące maszyny. — Dlaczego przebywacie o tej porze bez mojego zezwolenia na terenie zakładu?!

Trzech mężczyzn drgnęło odruchowo. Pierwszy podniósł głowę Wilczek, wysoki, przystojny blondyn o szerokich barach i mięśniach napiętych pod roboczym, niebieskim fartuchem. Pracownik len sprawiał Karkowiakowi najwięcej kłopotu spośród całej załogi. Świetny fachowiec, któremu — o ile tylko chciał — robota paliła się w rękach, miał bezczelny i arogancki sposób bycia. Ponadto często zaniedbywał się w pracy i nic stronił od kieliszka. Przez kilka lat przebywał w Nigerii, gdzie musiał się nieźle dorobić i dlatego być może traktował swoje obowiązki w spółdzielni z dużą dozą nonszalancji. Karkowiak już niejednokrotnie nosił się z zamiarem zwolnienia go z pracy, gdyż uważał, że to on właśnie wprowadza ferment wśród ludzi, stanowiących na ogół zgrany zespół; jednak w gruncie rzeczy nie było to łatwe zadanie; Wilczek był członkiem spółdzielni, a więc należało go najpierw pozbawić członkostwa za aprobatą rady spółdzielni. Tymczasem cieszył się on popularnością w całym zespole, głównie dzięki hojności, z jaką sypał pieniędzmi, dzięki umiejętności zjednywania sobie kumpli.

Teraz też wyszczerzył duże, białe zęby w uśmiechu.

— Witamy, prezesie! Wykańczamy zamówienia dla „Jubitera” przed terminem. Wie pan — taka mała niespodzianka dla pana, a dla nas okazyjka do podłapania dodatkowej premii. A pan jak zwykle zaraz: „hu-zia”, ładnie tak traktować spółdzielców?

— Proszę bez takich uwag. Wilczek... — Karkowiakowi ze zdenerwowania słowa grzęzły w gardle. — Wie pan doskonale, że trzeba uzyskać zgodę zarządu na pracę w godzinach nocnych. Wikt od was nie wymagał lakiej inicjatywy. Plan już jest i tak prawie wykonany.

— Niech pan będzie ludzki, prezesie. Za pracę pan gani? Słowo daję, z panem nic wiadomo, jak postępować. Raz mi pan zarzuca lenistwo, a raz nadgorliwość.

Dosyć, Wilczek! Niech pan pamięta, że pana także, jak wszystkich, obowiązuje regulamin pracy, i że dopuścił się pan ewidentnego jego przekroczenia. A pan, panie Kazjer, co ma do powiedzenia na ten temat? — zwrócił się do drugiego mężczyzny, który spokojnie porządkował swoje stanowisko i czyścił narzędzia. Kazjer był niemal tego samego wzrostu co Wilczek, również blondyn, ale cięższy w ruchach, mało-mówny, a nawet mrukliwy. Pochodził z Francji i w dokumentach miał dwa nazwiska: Piotr Kazjer vel Pierre Casier. Matka jego była Polką i po rozejściu się z mężem wróciła do Polski z małym dzieckiem, ojciec jego zaś ponoć nadal mieszkał w Paryżu. Kazjer miał opinię solidnego pracownika, choć pracującego w nieco zwolnionym tempie.

— Ja? Tak samo jak Wilczek — powiedział, jakby ważąc każde słowo — chciałem więcej zarobić.

— Niech mu się pan nie dziwi, panie prezesie, chłop niedawno się ożenił. Potrzebuje pieniędzy na kiecki dla żony. Pan wie, jakie są kobiety...

— W każdym razie należało to ze mną uzgodnić — mruknął Karkowiak.

Nagle ogarnęło go zniechęcenie. Nie wiedział, jak się w takiej sytuacji zachować. Nic chciał się ośmieszać dalszą indagacją, ale arogancja Wilczka wprawiła go w stan niezwykłego rozdrażnienia.

— Pan Kazjer może sam mówić, nie potrzebuje adwokata — dorzucił. — I proszę na przyszłość o zaniechanie tego rodzaju samowoli, bo będę zmuszony wyciągnąć poważne konsekwencje służbowe.

Do trzeciego mężczyzny, Stanisława Podkowy, nawet się nie zwracał. Powszechnie było wiadomo, że cierpi on na pewien niedorozwój psychiczny i ślepo spełnia polecenia swoich bezpośrednich zwierzchników.

— Nie chce pan obejrzyć rezultatu naszej pracy? — Wilczek wysypał na stół garść skrzących się w świetle elektrycznym błękitnych akwamaryn i zielonych chryzolitów. — Cudowny szlif, szefie! „Jubiler” będzie zadowolony.

— Obejrzę jutro — Karkowiak odruchowo spojrzął na zegarek. Pomyślał, że Wira już pewno dawno wróciła do domu z kawiarni i czeka na niego z kolacją. — W każdym razie proszę panów o zgłoszenie się jutro przed południem w moim gabinecie. Być, może trzeba będzie pomyśleć o innym przydziale pracy dla waszej brygady.

Wilczek raz jeszcze błysnął zębami i uklonił się z przesadną uniżonością.

Idąc spiesznie drogą wiodącą na stację Karkowiak nie mógł pozbyć się wrażenia, że obaj mężczyźni kłamali i że w całej tej sprawie mają zamiar wystrychnąć go na przysłowiowego „dudka”. Odczuwał przy tym niesmak i niezadowolenie z siebie samego. Oczywiście dla niego było, że ani jednemu, ani drugiemu

pracownikowi nie zależało na niewielkiej w gruncie rzeczy premii, którą zarząd przyznawał za efektywność gospodarowania, a przede wszystkim za ponadplanowe wykonanie produkcji. Obydwaj byli dobrze sytuowani, otrzymywali wysokie pobory. Wilczek dorobił się na posiadzie w Nigerii, a Kazjer podobno często otrzymywał paczki od ojca z Francji.

„Muszę koniecznie zbadać, co w tym wszystkim tkwi” — zdecydował wsiadając do wagonu.

## II

---

Adwokat Teresa Molnicka z przyjemnością popijała drobnymi łykami świeżo parzoną, czarną kawę, siedząc w kawiarni hotelu „Victoria” naprzeciw swojej koleżanki szkolnej, Wiry Karkowiakowej. Sala była duża, dobrze przewietrzona, metalowe lampy, wiszące u sufitu, rozsiewały przyjemne, nie męczące oczu światło, a wygodna kanapka wprawiała ją w stan rozleniwienia. Słowem odpowiednie miejsce dla małego relaksu po hałaśliwym dniu pracy w sądzie i w zespole adwokackim, nastrojające do snucia nic kończących się wspomnień i do intymnych zwierzeń. Wprawdzie Wira należała do „starszych”, gdyż chodziła do wyższej klasy, ale jednak miały sobie wiele do powiedzenia. Zazwyczaj Teresa w owych szczenięcych latach na sali podczas pauzy, czy w ogródku szkolnym gapiała się w nią jak w tęczę, gdyż jej subtelna, niecodzienna uroda zawsze robiła na niej wielkie wrażenie. Pamiętała ją jako dziewczę wiotkie, kruche, o porcelanowej cerze i oczach barwy topazu, z falą złocistych włosów spływających na ramiona, żyjącą w jakimś pozaziemskim świecie, jej tylko znanym i dostępnym. Przynajmniej tak sobie wyobrażała Teresa, gdyż Wira na ogół izolowała się od otoczenia, nie flirtowała z kolegami, którzy wodzili za nią tylko zachwyconymi spojrzeniami, ale nie mieli odwagi jej „podrywać”, traktując jako istotę stworzoną do „wyższych” celów. Wira spacerowała przeważnie sama (albo z grubą Małgosią o tłustych, czarnych włosach, stanowiącą całkowite jej przeciwieństwo), poruszając się z wdziękiem, prawie fruując nad ziemią, a każdy jej ruch był samą w sobie poezją i harmonią. Wówczas stanowiła dla Teresy niedościgniony wzór piękna i wywoływała w niej ambiwalentne uczucia miłości i nienawiści, a może i zazdrości jednocześnie. Trudno by to było zdefiniować”. Chara klery styczne było, że w owych pensjonarskich czasach oczy Wiry pełne były zawsze zadumy i powagi, a nawet kiedy się uśmiechała — pozostawał w nich cień smutku, czyniąc ją tajemniczą i zagadkową. Krążyły pogłoski, w które trudno było prawie uwierzyć, że matka jej jest samotną, skromnie zarabiającą urzędniczką, w związku z czym powodzi im się nad wyraz kiepsko. Tymczasem spiczaste pantofelki Wiry, białe skromniutki bluzeczki i obcisłe paletka wyglądały jak modele z paryskiego domu mody. nawet o ile bywały naprawdę nicowane, jak twierdziły złośliwe koleżanki.

To wszystko działo się dwadzieścia lat temu. Teraz *vis a vis* Teresy siedziała kobieta, której właściwie nie ubyło uroku, choć rysy jej powłokła ledwo zauważalna patyna czasu. Złote włosy, upięte w gruby węzeł niedbale, jakby od niechcienia, ale w sposób zwracający uwagę, delikatnie zarysowane nozdrza, cera figurki z sewskiej porcelany, lekko zamglone oczy z topazu... Ta sama wysublimowana uroda, narzucająca poetom romantyczne skojarzenia z różanym świtem, opalizującą perłą albo płatkami róży. skapanym w rosie — Catherine Deneuve w polskim wydaniu, wspaniały, ale nie wykorzystany materiał dla Bunuela. Dziwny był ten

Ledzica — reżyser rozsmakowany w grze niuansów i niedomówień, że nie zauważył we własnej żonie zadatku na gwiazdę filmową, a odszedł od niej w tak bezwzględny, a nawet okrutny sposób. Ta niespodziewana myśl sprawiła, że Teresa powiedziała—mimowolnie: „Wiro. przepraszam cię za tamto...” i zaraz zganiła siebie w duchu. Nie powinna była o tym mówić, wracać do tak przykrego okresu w życiu Wiry. Ostatnie ich spotkanie nie należało do przyjemnych, bowiem Teresa wówczas młoda i początkująca adwokatka — występowała jako pełnomocnik słynnego reżysera Ledzicy w procesie rozwodowym, który prowadził przeciw swej żonie Elwirze, byłej montażystce filmowej. Wtedy znalazły się oko w oko po przeciwnych stronach. Oczywiście Teresa początkowo nie wiedziała, że właśnie Wira jest jego żoną. nie skojarzyła sobie nazwisk i faktów. Jako wybijający się adwokat musiała konsekwentnie i z wrodzonym uporem spełnić swój obowiązek, doprowadzić do pomyślnego dla swego klienta finału. Wybór jej na pełnomocnika przez znamienitego Ledzicę był dla niej wielkim wyróżnieniem, wstępem do dalszej kariery zawodowej. Nic mogła, nic wolno jej było kierować się żadnymi sentymentami. Była twardym, zaciętym przeciwnikiem tego słabego stworzenia, które Ledzica chciał usunąć ze swego życia w taki sam brutalny, gwałtowny sposób, w jaki wybrał ją spośród tysięcy kobiet, z którymi pracował. Wira oczywiście nie była jego pierwszą żoną, miał już dwoje dzieci, które alimentował. Lubił zmieniać kobiety, był człowiekiem o niezmiernych horyzontach, twórcą, dla którego każda zmiana obiektu uczuć była paliwem, podsycającym natchnienie i bodźcem do pracy. Był obywatelem świata, który nie mógł długo zagrzzać miejsca, gdyż jakaś siła zmuszała go do stałej pogoni za upatrzoną zdobyczą. Na pewno olśniła go uroda Wiry, ale jej nieśmiałość, cichość sprawiły, że nie mogła długo utrzymać w ryzach tego iście wulkanicznego osobnika. Dla kontrastu oszołomiła go zmysłowa, rudowłosa piosenkarka o rubensowskich kształtach, tryskająca żywiołowym temperamentem. Wtedy Wira przestała mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie, a osoby takie po prostu i bezpardonowo odpychał od siebie jak bezwartościowe, zawadzające przedmioty.

Teresa w trakcie procesu zdawała sobie doskonale sprawę, że rozwód z Ledzicą jest dla Wiry tragicznym przeżyciem, że ziemia nagle i niespodziewanie usunęła jej się spod nóg. i że zapewne nieprędko zdoła otrząsnąć się po doznanych ciosie. Widziała jej rozwarłe, naznaczone bólem oczy, poszarzałą twarz, zacięte usta. W końcu przestawała być żoną słynnego reżysera, osobą eksponowaną w szerokich kręgach towarzyskich. Wracała do roli zwykłej, samotnej kobiety. Dziwna rzecz, że właściwie nie protestowała przeciw żądaniom męża, była jakby biernym świadkiem własnej sprawy, prawie nie powiedziała przez cały czas słowa. Kategorycznie odrzuciła tylko jakiegokolwiek propozycje pomocy finansowej z jego strony, choć wówczas nie pracowała i nie miała już szans na powrót do swego zawodu ze względu na rozwój choroby, uniemożliwiającej tego rodzaju pracę. Kiedy po orzeczeniu przez sąd rozwodu wychodziła z sali sądowej niema i piękna, z twarzą ofiary prowadzonej na stos. Teresa czuła się jak oprawca. I dlatego teraz, tutaj, w kawiarni, po wielu latach powiedziała odruchowo:

— Wiro, przepraszam za tamto. Karkowiakowa zrobiła nieznacznym, ale pełnym wdzięku ruch ręką.

— Ach. daj spokój — powiedziała. To nie ma najmniejszego znaczenia i było już tak dawno...

Właściwie w ogóle było mało prawdopodobne, aby Wira i Teresa miały kiedykolwiek nawiązać jakiś kontakt i dzisiejsze spotkanie było dla Molnickiej niespodzianką, a nawet zaskoczeniem. Kilka tygodni temu przypadkowo spotkały się w kolejce w „Modzie Polskiej”. Krótka rozmowa, zdawkowe uprzejmości... Nie wiadomo, od której wyszła propozycja spotkania, w każdym razie Wira zanotowała telefon Teresy. Molnicka zaraz o tym zapomniała, nie przywiązując wagi do tej przelotnej propozycji, jednej z tych, które nie mają zazwyczaj dalszego ciągu, ale nagle Wira zadzwoniła. Mówiła, że ma chęć na wspominki o starych, dobrych czasach, na oderwanie się na chwilę od codzienności. I w ten sposób umówiły się w „Victorii”. Przez dłuższy czas rozmawiały o kochanej, starej „budzie”, o profesorach, którzy jeszcze żyli. i o tych, którzy już odeszli, o kolegach i koleżankach. Coś w rodzaju: „A pamiętasz tego Jacka, który nosił takie długie włosy i

wyglądał, jakby je czesał raz na rok? Jest teraz znanym poetą. Pisze w taki sposób, że rozumieją go tylko wtajemniczeni, ale otrzymuje państwowe nagrody. A pamiętasz tę czarną Małgosię? Została zakonnica. A wiesz, że ta piegowata Hanka wyszła za mąż za Władka z drugiej licealnej?". I tak dalej, i tak dalej... W końcu te tematy się wyczerpały, nie chodziły przecież do jednej klasy.

— Ślicznie wyglądasz — powiedziała wtedy Teresa. — Musiałaś chyba niedawno być na wczasach!

Istotnie, skóra Wiry pokryła była równomierną złotawą w odcieniu opalenizną.

— Tak — uśmiechnęła się kącikiem jasnoróżowych, nie malowanych ust, jakby wstydziła się normalnego, pełnego uśmiechu. — Trzy tygodnie temu wróciliśmy z Ustki. Byliśmy w naszym domu związkowym.

— A więc jesteś teraz panią prezesową! Na pewno ci się świetnie powodzi — podtrzymywała rozmowę Teresa i natychmiast ponownie ugryzła się w język.

Znów mały, tym razem nieznaczny ruch ręką:

— Nie tak, jak to się zwykle rozumie. Żadnych daczy, zagranicznych aut, dalekich podróży. Mój mąż jest nadzwyczaj czuły na tym punkcie, aby nie być posądzonym o najmniejszą nieuczciwość.

— I słusznie. Przynajmniej ma czyste sumienie i może spokojnie spać w nocy. Jego koledzy budują luksusowe wille, wysługując się przy tym pracownikami swoich przedsiębiorstw, korzystając z różnych przywilejów. U nas nic z tych rzeczy. Ale mamy mile mieszkanko na Kole, fiata I26p. jeździmy dwa razy w roku na dwutygodniowy wypoczynek. I jest mi z tym dobrze, wierz mi; naprawdę jest mi dobrze — mówiła szybko. jakby usiłowała sama siebie przekonać o prawdziwości swych słów. A może tylko tak się Teresie wydawało?

— Stefan jest bardzo do mnie przywiązany. Jestem mu potrzebna, a to coś znaczy. Chcesz, pokażę ci jego fotografię.

Szybkim ruchem wyłuskała z zamszowej torebki małe zdjęcie i podała je Teresie. Z fotografii spojrzała nań twarz mężczyzny około pięćdziesiątki, o kwadratowym podbródku, pospolitych rysach, z fałdami pod oczyma, twardym, przenikliwym spojrzeniu, z mocno uwydatnioną łysiną czołową. Wylewający się z nadmierem ciała i wyraźny już zarys drugiego podbródka świadczyły o nadwadze i tendencji do dalszego tycia. A więc ten osobnik, koło którego można przejść tysiąc razy nie zwróciwszy na niego najmniejszej uwagi, jest mężem Wiry? Jakaż ironia losu! Natychmiast stanął Teresie w pamięci wysoki, szczupły, wysportowany Ledzica. o falujących, siwiejących włosach i znerwicowanej twarzy, przykuwającej swym wyrazem uwagę każdego człowieka, z którym choć raz w życiu miał do czynienia. Ledzica, który już wielokrotnie sięgał po międzynarodowe nagrody za swoją lwórczość, a w ubiegłym roku otrzymał! Złotą Palmę na festiwalu w Cannes za film Przeżyć dobrze dzień. Jego zdjęcia pojawiały się wówczas bez przerwy we wszystkich— czasopismach, a kronika filmowa pokazywała przez wiele tygodni moment wręczania nagrody. Stał wówczas na podium w białym smokingu, a obok niego śmiała się i wdzięczyła młoda kobieta w długiej, koronkowej sukni, ze sznurem perci owiniętych wokół szyi. Czy laskowego męża można zapomnieć? I tak szybko zastąpić go łysiejącym prezesem spółdzielni z pokaznym zapewne brzuszkiem? Ale Wira widocznie należy do kobiet, które jak pnące rośliny muszą szukać oparcia, a jeśli je znajdują, nic już więcej do szczęścia im nie potrzeba.

— Bardzo miły pan — odpowiedziała swobodnie Teresa, bo przecież nic innego nie wypadało uczynić.

— On mnie kocha, a to chyba jest najważniejsze, prawda? Opiekuje się mną, dba o mnie. Wiesz chyba, że nie jestem zupełnie zdrowa i że nie mogę pracować — Wira podniosła do ust filiżankę i dopijała kawę małymi łykami. — A ty, Tereso, czy wyszłaś za męża?

— Nie i chyba zostanę starą panną. Ale na razie nie myślę o tej przerażającej perspektywie.

— Muszę cię wyswatać. Wiem, ty jesteś samodzielna, zaradna, nie potrzebujesz na nikogo liczyć. Ale przychodzi taki czas, że mężczyzna w domu, w szlafroku i starych kapciach, też jest potrzebny.

— Masz rację — roześmiała się Molnicka. — Kiedyś w końcu zastanowię się nad swoim losem.

— Koniecznie musisz nas odwiedzić — nagle nerwowo spojrzała na zegarek. — Mój Boże, jak późno! Wybacz mi, ale pewno Stefan już wrócił i czeka z kolacją. Bardzo było miło. Sądzę, że się niedługo zobaczymy.

Poderwała się lekko, zwinnie. Zawsze te same elastyczne, pełne gracji i wdzięku ruchy, jak niegdyś— kiedy biegła po dziedzińcu szkolnym w cienkich, spiczastych pantofelkach.

— Czy cię podwieźć? ?

— Nie, dziękuję, wzięłam od Stefana samochód.

Rozjechały się w przeciwne strony. Jeszcze z daleka pomachały do siebie torebkami.

— Zadzwoń do ciebie, na pewno zadzwonię! — zawołała Wira, ale Teresa miała dziwną pewność, że to nigdy nie nastąpi.

Karkowiak wracając do domu spojrzął odruchowo w okna swego mieszkania. W jednym z pokoi i w kuchni paliło się światło. A więc Wira jest już w domu, czeka na niego. Poczul ciepło w żyłach, podchodzące aż do serca. Zawsze, ilekroć rozstawał się z nią, choćby na parę godzin, obawiał się— że straci ją na zawsze, że życie z nią było pięknym snem, z którego wróci po obudzeniu się do bezbarwnej rzeczywistości.

Tym razem posłyszała jego kroki już na schodach, otworzyła drzwi uśmiechnięta i pogodna, otulona bladoperłowym peniuarem, którego jeszcze nie znał. Przez chwilę trzymał ją w objęciach, jakby upewniając się, że jest normalną istotą, a nie świetlną zjawą.

— Chodź. Stefku — powiedziała ciągnąc go za rękę do pokoju. — Na pewno jesteś zmęczony. Przygotowałam kolację.

— A co żoneczka mężulkowi ugotowała? — zapytał pieszczotliwie, całując spód jej dłoni.

— To, co najbardziej lubisz: flaki. A na deser mam jeszcze szarlotkę.

— Dziękuję, że tak o mnie pamiętasz.

W pokoju, na stole nakrytym białym obrusem, stały porcelitowe, szafirowe talerze i paliła się w lichtarzu wysoka, żółta świeca. Wira zawsze dbała o estetykę, Karkowiak wiedział o tym i szanował te jej upodobania, chociaż nie przywiązywał do nich najmniejszego znaczenia. Zbyt dobrze pamiętał jeszcze czasy, kiedy jadł na ceracie, wprost z garnka albo z przybrudzonego papieru. Usiadł przy stole nad dymiącym talerzem i zaczął łykać łapczywie. Przy smacznych, ulubionych potrawach tracił kontrolę nad samym sobą, pochłaniała go bez reszty czynność jedzenia. Wira siedziała naprzeciw niego milcząca, jakby zadumana, nawet fakt, że tłuszcz ściekał mu po brodzie, nic wywołał żadnej reakcji na jej twarzy.



— Dlaczego nic nie jesz? — zapytał nagle.

— Nie jestem głodna. Wiesz przecież, że muszę dbać o linię, żeby się tobie podobać.

Roześmiał się dobrodusznie i pogładził ją po ręce.

— Będziesz mi się zawsze podobała, nawet gdybyś ważyła sto kilo.

Kiedy już nasycił swój apetyt, pociągnął ją na wersalkę.

— Co dziś w telewizji? — zapytał.

— Zdaje się, że Aniołki Charliego w nocnym kinie.

— Chcesz obejrzeć?

Skinęła głową i podeszła do telewizora. Dotąd nie mieli kolorowego. Karkowiak uważał, że nabycie tak kosztownego sprzętu mogłoby wywołać niepotrzebne komentarze w spółdzielni.

Usiedli koło siebie. Objął ją ramieniem i przygarnął, jej bliskość zawsze przepelniała go szczęściem i... nagle poczuł lodowaty chłód koło serca: pomyślał o swojej córce Danucie. Nie wiadomo czemu w tej chwili właśnie, w ciszy i spokoju domowego ogniska, powróciło ostre, żywe i bolesne wspomnienie, które — wydawało się — już prawie wymazał z pamięci. Danka była największą zgryzotą jego życia, najgłębiej tkwiącą zadrą, spędzającą mu przez wiele lat sen z powiek, stanowiła problem, z którym nigdy nie mógł się uporać.

Kiedyś, w młodości, był przez pewien czas żonaty z nałogową alkoholiczką, która po latach męczarni zmarła w zakładzie dla nerwowo chorych w Tworkach. Urodziła mu córkę, którą starał się wychować najlepiej jak tylko umiał. Ale nie powiodło mu się. Były zresztą przez pewien czas obiektywne przeszkody, które nie pozwoliły mu na bezpośrednią opiekę nad córką. Być może to, albo też odziedziczone po matce skłonności, a nawet dewiacja psychiczna sprawiły, że dziewczynka od najwcześniejszego dzieciństwa przysparzała mu samych zmartwień, nie chciała się uczyć, wywoływała stale konflikty z otoczeniem, a kiedy dojrzała — po prostu uciekła z domu. Nie było jej przecież źle z ojcem, dbał o nią po swojemu, ubierał, żywił, przez długie lata ze względu na nią nie myślał o żadnej kobiecie, choć może nie otaczał jej takim ciepłem, jak by to potrafiła robić matka, oczywiście normalna matka, a nie ten szczątek ludzki w białym kitlu, który widywał za kratami szpitala. A jednak uciekła. Znalazł ją, przeprowadzał z nią długie rozmowy, prowadził do poradni, do psychologa, do lekarza. Nic nie pomagało. Uciekała ciągle. Wiele razy odnajdywał ją złachmanioną, wyniszczoną, zabiedzoną, odżywiał, karmił, usiłował nakłonić do nauki albo do pracy. Bez rezultatu. Kiedy podgoiła rany, jak kolka zniknęła bez uprzedzenia, bez słowa pożegnania. Wreszcie dopuściła się kradzieży. Stała przed sądem dla nieletnich, a potem przed sądem powszechnym. Wtedy zdawało mu się, że stracił dla niej serce. Kiedy osiągnęła pełnoletniość, przestał się nią interesować. Nie chciał, żeby ta dorosła wyrodna córka kompromitowała go przed ludźmi, zniesławiała jego dobre imię. Starał się więc o niej nie myśleć, nie chodził więcej na milicję, aby trafić na jej ślad. Tylko nieraz w nocy budził się zlanym zimnym potem, gdyż w snach jawiła mu się raz jako topielica z napuchniętą twarzą, to znów jako zmasakrowana ofiara bestialskiego mordu. Jeszcze parę lat temu odezwała się z prośbą, a właściwie żądaniem pieniędzy, a potem nastąpiła zupełna cisza. Nikt z jego obecnych znajomych, czy współpracowników, nie wiedział nawet o jej istnieniu. Jednej Wirze zwierzył się ze wszystkiego, gdyż przed nią nie miał tajemnic. Właściwie na początku małżeństwa miał cichą nadzieję, że będą mieli jeszcze dziecko, ale wkrótce, gdy stało się wiadome, że Wira nie będzie mogła już rodzić, szybko pogodził się z tym faktem, a nawet w głębi duszy odczuł ulgę, gdyż podświadomie obawiał się, że w genach, które przekaże nowemu potomkowi, tkwić będzie to samo niszczycielskie zło, które zawładnęło Danutą.

Nie wiedział dlaczego — teraz, w tym mieszkaniu stanowiącym oazę spokoju, u boku kobiety, przy której wyciszył MC wewnętrznie i doznawał uczucia ukojenia, nagle wróciło i targnęło nim to wspomnienie. Być może na zasadzie kontrastu z panującą tu atmosferą ładu i bezpieczeństwa, być może na skutek kłopotów w pracy znajdował się w stanie napięcia, które nasuwało mu same przykre skojarzenia. Musiał zmienić się na twarzy, gdyż Wira położyła mu chłodną, lekką rękę na czole.

— Stef — powiedziała — przestań się zadrećzać. To nie ma sensu. Myślisz o Dance. prawda?

Była cudownie wrażliwa, miała tak nieprawdopodobną intuicję, że poczuł się nieswojo.

— No, bo rozumiesz... my — zaczął nieporadnie... — bo nam jest tak dobrze, a kto wie, czy ona gdzieś w tej chwili...

Tym razem położyła mu rękę na ustach.

— Cicho. Stef, nie trzeba tak myśleć. Wiesz, ja przypuszczam, że Danką od dawna jest za granicą. Niepotrzebnie się zamartwiasz.

Karkowiak natychmiast wziął się w garść, gdyż nie lubił okazywać przed żoną najmniejszej słabości. W tym stadle rola przewodnika i opiekuna, któremu obce są wszelkie załamania, odpowiadała mu najbardziej.

### III

---

Spała ciężko, niespokojnie. Nękały ją widziadła. Twarz mężczyzny, który był jej droższy ponad wszystko, to zbliżała się, to oddalała, jakby w blasku falujących, rozjarzonych neonów wielkich, nieznanymi miast. Chwilami też zdawało się jej, że jakaś pętla zaciska się jej na szyi, że grozi jej niszczycielska siła, której nie jest w stanie się oprzeć. Z tych nocnych rojeń obudziła się z uciskiem w sercu. Spojrzała na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści. Wokół panowała cisza. Codzienna beznadziejność...

„Jak długo to potrwa? — pomyślała. — Ile czasu jeszcze będę znosić tę wegetację w mieszkaniu, którego nienawidzę, zmuszać się do uśmiechów, do kłamstwa? Niedługo zbrzydnę, zestarzeję się — przecież czas tak szybko mija. Być może nic się już w moim życiu nie zmieni. Czy nie lepsza byłaby śmierć?”

Długo nie mogła zdecydować się na wstanie, na rozpoczęcie zwykłego dnia, pełnego tych samych gestów i słów. Wreszcie narzuciła szlafrok na ramiona. Idąc do łazienki spojrzała z obrzydzeniem na rozrzuconą pościel. Blisko godzinę kąpała się w pianistej wodzie, spryskiwała wodą z prysznicy, tarła niemal do krwi ciało włóchatym ręcznikiem. Potem uważnie wpatrzyła się w lustro wiszące nad wanną. Widok własnej twarzy, bezbłędnie pięknej, młodej i smukłej sylwetki zdawał się ją uspokajać, wyciszać wewnętrznie. Zawsze rano, po obudzeniu, ogarniał ją stan depresji, zniechęcenia, przeradzający się stopniowo w bunt przeciw jarzmu, w które się dobrowolnie dała wprzęgnąć, a potem w pragnienie jak najszybszego wyzwolenia się,

ucieczki od ponurej rzeczywistości, walki o przyszłość, która być może przyniesie jej upragniony tryumf i zadośćuczynienie. Kiedy pomyślała, że dzień taki prawdopodobnie jest już bliski, uśmiech pojawił się na jej wargach.

Potem z ociąganiem zabrała się do swoich normalnych, codziennych zajęć, przepelniających ją odrazą i wstrętem.

Dziewczyna od kilku chwil przyglądała się w milczeniu zwłokom mężczyzny, rozciągniętym na stole w kostnicy. Nie miała wątpliwości, że był to jej mąż. chociaż twarz, na skutek doznanych obrażeń, była tak zniekształcona, że trudno było dopatrzyć się w niej ludzkich rysów. Tylko lekko falujące blond włosy pozostały prawie nie tknięte, tylko u nasady były zakrwawione. Początkowo nawet uległa złudzeniu, że był to ktoś inny, ten, którego z całej duszy nienawidziła i z satysfakcją ujrzałaby na marach. Byli podobnie zbudowani, jasnowłosi, prawie jednakowego wzrostu.. Ale kiedy spojrzała na ręce zmarłego, dojrzała ukośną bliznę na wskazującym palcu prawej dłoni i to ją upewniło, że jest to człowiek, którego dwa miesiące temu poślubiła. Właściwie nie odczuwała nic prócz wstrętu, najmniejszego żalu. Nic znała go przecież prawie wcale, był dla niej niemal tak obcy, jak każdy przechodzień na ulicy. Stojący obok niej funkcjonariusz milicji przyzwyczajony był do najróżnorodniejszych reakcji ze strony osób bliskich denatom, a identyfikujących ich zwłoki. Czasem załamanie psychiczne spowodować może szok w postaci kamiennej wprost obojętności. Nie przerywał więc milczenia wdowy, chcąc uszanować jej ból, którego być może nie mogła uzewnętrznić, gdy nagle dziewczyna powiedziała szybko:

— Tak. poznaję go. To jest na pewno mój mąż. — I dodała: — Chciałabym już stąd wyjść.

— Czy odwieźć panią do domu? — zapytał starszy sierżant, kiedy znaleźli się na ulicy.

— Nie. dziękuję. Przyjechałam samochodem — odparła. Pragnęła jak najprędzej znaleźć się na wolnej przestrzeni, z daleka od tego koszmaru, aby móc przemyśleć— wszystko, co się stało i postanowić, co dalej robić.

— Państwo mieli dwa samochody? — zainteresował się sierżant.

— Tak. Ojciec męża kupił mu niedawno za dolary dużego fiata, to znaczy wpłacił dolary na PeKaO za granicą, a mąż go tu odebrał. Więc małego fiata, którego mieliśmy przedtem, chciał sprzedać. Kiedy stał się ten wypadek, właśnie jechał na giełdę.

— Rozumiem. Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Wszelkie formalności urzędowe, załatwimy później. Na razie radzę dobrze przespać się i odpocząć. Czeka panią jeszcze dużo trudnych chwil starszy sierżant zasalutował i Usiadł do służbowego samochodu.

Patrzyła, aż zniknął za zakrętem ulicy, potem oparła się o karoserię auta. wyjęła z torebki papierosa i zapaliła. Tysiące myśli przelatywały jej przez głowę, przede wszystkim jednak czuła potworny, coraz bardziej wzmagający się strach przed powrotem do domu. Nie mogła już tak dłużej żyć. Wiedziała, że znów pojawi się tam ten mężczyzna, pod którego władzą i wpływem znajdowała się od kilku lat i zażąda od niej poniżających usług. Tyle razy już chciała uciec, ukryć się gdzieś, zniknąć mu z oczu, ale wiedziała, że wszystko to byłoby daremne, że on znajdzie ją wszędzie, zmusi do powrotu, a ona jak zawsze stanie się mu powolna, posłuszna. A może właśnie teraz zdarza się jedyna, niepowtarzalna okazja do ucieczki? Ma przecież samochód, który bez trudności mogłaby spieniężyć, trochę gotówki przy sobie. Zaraz, ile? Nerwowo sięgnęła do portfela. Psiakrew, tylko dwa tysiące. Resztę forsy schowała do szafy. Nie, to wszystko na nic: przecież umarł jej mąż. Musi zgłosić się na milicji, wziąć udział jako niepokieszona wdowa w pogrzebie inaczej mogłoby na nią paść podejrzenie, że w jakiś sposób przyczyniła się do jego śmierci. A przecież nie

ma z tym nic wspólnego. On naprawdę zginął w wypadku samochodowym. Stracił panowanie nad kierownicą i rozwalił się o drzewo. Po prostu nie ma innego wyjścia — musi wracać do domu.

Wsiadła do samochodu i opuściła boczną szybę, aby przewietrzyć rozgrzane wnętrze wozu.

Mieszkała kilka kilometrów za Warszawą, przy trasie wilanowskiej, ale postanowiła pojechać trochę dalej. Taka przejażdżka w samotności dobrze robi, może nawet jakaś zbawienna myśl przyjdzie jej do głowy? Jechała szybko i sprawnie — podobno była urodzonym kierowcą. Pęd powietrza, wpadającego przez okno, rozwiewał jej jasne włosy o naturalnym, złocistym odcieniu i przyjemnie chłodził rozpaloną twarz. Mimo woli wróciła myślą do przeszłości, do tego wszystkiego, co ją spotkało od chwili ucieczki z domu poprawczego. Tułała się wtedy od wielu dni bez grosza przy duszy, głodna, brudna, w ciągłym strachu, aby nie zostać złapaną i doprowadzoną z powrotem do „poprawczaka”. Nocowała po opuszczonych budach, po piwnicach, a na widok każdego mundurowego funkcjonariusza milicji doznawała uczucia panicznego lęku, gdyż potwornie bała się powrotu do tamtego miejsca, gdzie żyła w odosobnieniu, pozbawiona swobody, zagoniona w szeregi takich samych jak ona dziewcząt „z marginesu”. W jej pojęciu nie zrobiła nic złego. Po prostu lubiła się włóczyć, nie znosiła przymusu, zakazów i nakazów, dlatego uciekała z domu, którego w istocie w ogóle nie miała, gdyż nikt tam się o nią nie troszczył. Pociągało ją życie z dnia na dzień w towarzystwie młodych, niezależnych od nikogo dziewczyn i chłopców, taniec, śpiew, swoboda. To prawda, że nie chciała się uczyć, że używała wulgarnych słów i że raczej przypadkowo została wplątana w kilka krwawych bójek w melinach. Ale żeby tak zaraz „poprawczak”? Czuła się tym pokrzywdzona, poniżona. I jeszcze ta dziewczyna w zakładzie — ordynarna, silna, podła, która upatrzyła ją sobie na ofiarę, wysługiwała się nią jak niewolnicą, grożąc, że ją zabije, jeśli poskarży się przełożonym. Nie, nie mogła dać się schwytać, wołała raczej umrzeć. Jednak tułaczka męczyła ją coraz bardziej. Szła na piechotę wiele kilometrów, zdarła buty, a napuchnięte nogi zaczęły krwawić. I wtedy, kiedy dwóch starszych, podpitych mężczyzn podeszło do niej na stacji kolejowej i zaproponowało kolację nie odmówiła. Była przeraźliwie głodna i chciało jej się strasznie spać, gdziekolwiek, byle na czymś miękkim i pod dachem. Zaprowadzili ją do jakiegoś mieszkania na przedmieściu małego miasteczka.

Pokój był nawet dość czysty, bielone ściany, stół, drewniane krzesła, po bokach kilka barłogów z niezbyt świeżą pościelą. Pamiętała nawet gospodynię, wysoką, chudą, w chustce na głowie, ze spiczastym, zaczerwienionym nosem.

— Możecie tu zostać powiedziała, kładąc palce na ustach — ale cicho mi się zachowywać, bo obok śpi bardzo dobry gość, przyjechał z daleka i chce odpocząć.

Wtedy jeden z mężczyzn, tęgi i łysy, pocałował ją w rękę i zarechotał przymilnie:

— Będziemy cicho jak te myszki, przecież pani nas zna. tylko niech pani nam da coś mocniejszego i dobrą zagrychę.

Przyniosła zawiniętą w papier kielbasę, misę jajecznicy, kilka butelek i odeszła. Mężczyźni zaraz dobrali się do wódki, a ona rzuciła się na jedzenie. Najpierw zaczęli ją szczypać, a jeden chciał koniecznie, żeby mu usiadła na kolanach, ale wkrótce bez reszty pochłonęło ich picie, byli już zresztą przedtem podchmieleńni, więc nowa dawka alkoholu szybko zwała ich z nóg. Jeden zasnął z głową na stole, drugi, ten łysy. Dotarł do barłogu i zaraz zaczął chrapać z otwartymi ustami. Początkowo też chciała się położyć, padała ze zmęczenia, ale uwagę jej przykuł widok, który wprawił ją w stan podniecenia i sprawił, że zaczęła drzeć na całym ciele: z kieszeni leżącego mężczyzny wystawał róg portfela z brązowej skóry. Wiedziała, że jest w nim dużo pieniędzy, bo niedawno płacił gospodyni i miętosił w garści plik banknotów. Te pieniądze mogły

ją uratow—ac od głodu i poniewierki. Zaraz wsiądzie w pierwszy lepszy pociąg i odjedzie daleko stąd, a jeśli będzie dobrze uważać, dotrze bez przeszkód do Warszawy, a tam podobno można się dobrze urządzać.

Najciszej jak mogła, podeszła do śpiącego i delikatnie zaczęła wyciągać portfel. Kiedy stała nad nim pochylona, owiewał ją pijacki oddech, a każde drgnięcie śpiącego powodowało, że oblewała się potem. W końcu wysiłek został uwieńczony powodzeniem. Kiedy odwróciła się, trzymając portfel w ręku, struchlała z przerażenia. Na progu pokoju, w drzwiach prowadzących do drugiego pomieszczenia stał młody mężczyzna, wysoki blondyn w jasnym prochowcu i przyglądał się jej z przymrużonymi oczyma.

—Widziałem wszystko — powiedział cicho. Jesteś złodziejką. Chodź, zabieram cię ze sobą.

Pociągnął ją do drugiego pokoju, skąd zabrał dwie nowe. duże. skórzane walizy, a potem wyprowadził bocznym wyjściem na dwór. Na podwórzu stało zaparkowane auto. piękny, zagraniczny wóz, połyskujący jasnozielonym lakierem.

— Masz szczęście, mała łajdaczko, żeś na mnie trafiła — zaśmiał się złośliwie, zapuszczając motor. — Inny by cię oddał w ręce milicji, a ja zajmę się tobą. Może jeszcze coś z ciebie będzie.

Zamieszkali w wynajętym pokoju w okolicach Warszawy. Początkowo był nawet dla niej dobry, wydawał dużo pieniędzy, miała co jeść, gdzie spać. w końcu przestała się bać, że ją złapią. Ale pewnego dnia poczuła, że ma już dosyć tego życia, spokojnego, uregulowanego, z tym mężczyzną, który stale trzymał ją przy sobie. Jej nieokiełznana żądza swobody domagała się swych praw. Pewnego ranka, kiedy jeszcze spał, zaczęła się po cichu ubierać. Nie chciała mu zabrać dużo: parę tysięcy i te kilka sukienek, które jej kupił. Była już prawie gotowa do wyjścia, kiedy usłyszała jego spokojny głos:

— Dokąd idziesz, mała?

Zamarła bez ruchu, a on jednym skokiem podniósł się z łóżka. Nie mówił ani słowa, ale zimny blask jego oczu dosłownie ją sparaliżował. Wtedy po raz pierwszy uderzył ją. Był to cios straszny, silny, sprawiający, że przykucnęła na podłozie. Potem przez kilka minut bił ją w taki sam sposób, cicho, bezgłośnie, tak że nawet nie mogła wydobyć jęku z gardła. Kiedy skończył, a ona upadła jak łachman, powiedział tym samym, nie zmienionym, spokojnym głosem:

— Głupia niewdzięcznico, myślałaś, że po tym, co dla ciebie zrobiłem, dam ci odejść, że znalazłaś naiwnego? Może chcesz iść tam, skąd przyszedłaś? Dowiedz się, że musisz mnie słuchać i zawsze robić, co ci każe, inaczej pewnego pięknego dnia wyłowią cię z Wisły. Zrozumiałaś? To dobrze. A teraz ściągaj kieckę i marsz do łóżka.

Zaraz potem wyszedł i zamknął ją na klucz w pokoju. Odtąd znienawidziła go z całej duszy, ale ze strachu była mu absolutnie posłuszna. Kiedy tylko próbowała się buntować, bił ją tymi samymi niesamowitymi, tępymi uderzeniami, łamiącymi jej wolę. wykańczającymi psychicznie i fizycznie. Posiadał umiejętność zadawania ciosów bez pozostawiania na ciele ofiary najmniejszego śladu, jakby przechodził w tym zakresie specjalną szkołę. Zresztą kiedy go słuchała, nie było jej źle. Jadła, ile chciała, nosiła ładne ciuchy, czasem wyjeżdżała z nim na spacer. Często zastanawiała się, po co on ją trzyma przy sobie — przecież nic był w niej zakochany. Dobrze wiedziała, że ten człowiek nie jest zdolny do żadnego uczucia.

Pewnego razu przyszedł w dobrym humorze.

— No, mała powiedział — przeprowadzamy się, będziesz miała teraz ładny dom.

Rzeczywiście przenieśli się do małego, ale nowoczesnego domu, położonego przy trasie wilanowskiej. Powoli przyzwyczajała się do nowego życia, nie próbowała już uciekać. On musiał gdzieś pracować, bo

rano wychodził o jednej i tej samej porze, wieczorami przeważnie nie było go w domu, a potem przestał właściwie przychodzić na noc. Kiedy przychodził, powtarzał:

— Nie próbuj tylko zwiewać. Milicja cię zaraz nakryje. a ja też wszędzie cię znajdę, a wtedy pożałujesz, żeś się urodziła.

Pewnego popołudnia wręczył jej dowód osobisty z jej fotografią, ale zupełnie obcym imieniem i nazwiskiem.

— Uważaj — powiedział. — Teraz tak się nazywasz. Masz bardzo ładną przeszłość, nigdy nie byłaś w domu poprawczym. Twój stary był adwokatem, a mama farmaceutką — oboje zginęli w wypadku samochodowym, a ty wychowałaś się w sierocińcu. Poprzednia właścicielka już tego nie potrzebuje... — zawiesił głos. — Teraz trzeba się zająć twoją edukacją. Nie możesz wycierać nosa rękawem, nawet kiedy nikt tego nie widzi, ani siorbać przy jedzeniu. Zrobię jeszcze z ciebie wielką panią, będziesz mi dziękować. Przyjdzie tu parę razy taka jedna moja znajoma, która cię nauczy dobrych manier.

Wkrótce zjawiała się wysoka, szczupła brunetka o śniadej cerze, w ciemnych okularach przesłaniających pół twarzy. Traktowała ją oschle i wyniośle, ale pokazała jej, jak posługiwać się prawidłowo widelcem i nożem, jak trzymać filiżankę, odpowiadać na ukłony na ulicy, weszcie jak wyrażać się poprawnie, prowadzić potoczną rozmowę. Potem zniknęła i nie pokazała się więcej. Następnym etapem był kurs prawa jazdy. Skończyła go szybko. Okazało się, że jest w tym kierunku uzdolniona, nawet teoria nic przysłała jej z trudnością. Mimo, iż życie układało się teraz lepiej, stale czuła wewnętrzne napięcie i niepokój. Zadawała sobie nieustannie pytanie, po co on to robi, dlaczego się nią zajmuje. Cudze dokumenty, którymi się posługiwała, też przepelniały ją strachem. Im bardziej doroślała, tym jaśniej rozumiała, jak dalece jest uzależniona od mężczyzny, który budził w niej coraz silniejsze uczucie wstrętu.

Pewnego wieczoru przyprowadził ze sobą wysokiego, rosłego blondyna, który od samego progu obrzucił ją ciężkim, uważnym spojrzeniem, postawił przed gościem butelkę wódki i powiedział śmiejąc się złośliwie:

— No, mała, wychodzisz za męża. To jest twój narzeczony, papiery już przygotowane, za miesiąc ślub.

Czuła, że musi zaprotestować, że nie może pozwolić dalej sobą poniewierać, być marionetką, kierowaną w niewiadomym celu przez tego człowieka.

— Ani mi się śni wychodzić za męża! — krzyknęła odważnie. — Jak będę chciała, sama wybiorę sobie męża!

— Słyszysz ją, jaka cwana? — odwrócił się do przybysza, który siedział przy stole i wciąż przyglądał się jej spod oka. — Ale zaraz zmieni zdanie, zobaczysz.

Zanim się spostrzegła, podszedł do niej i zadał jej jeden ze swoich straszliwych, płaskich ciosów. Potem bił ją przez kilka minut okrutnie, jak nigdy przedtem, aż załamana zaczęła go błagać o litość. Na pożegnanie dał jej jeszcze kopniaka i powiedział:

— Żebyś pamiętała, że dom, w którym mieszkasz, jest jego własnością, a ty odtąd musisz go we wszystkim słuchać.

I tak zaczęło się jej małżeństwo. Mąż wprowadził się wprawdzie do domu, ale prawie się do niej nie odzywał, tylko często ukradkiem przyglądał. Żyli obok siebie jak obcy ludzie, on nawet jadł w mieście. Trwało to krótko, zaledwie dwa miesiące. I nagle przysłała urzędowa wiadomość, że zginął w wypadku samochodowym. Nie wywarło to na niej w zasadzie żadnego głębszego wrażenia, tylko ta identyfikacja zwłok

była przykrym, wstrząsającym wydarzeniem. A teraz? Co robić teraz? Jest znów wolna, ma chyba prawo do innego, własnego, prawdziwego życia?

Zajechała przed dom. W oknach było ciemno, zapadł już gęsty mrok. Wprawnie jak zwykle wprowadziła wóz do garażu. Potem otworzyła kluczem zatrask u drzwi wejściowych i weszła do środka.

— Nic zapalaj światła i bądź cicho — usłyszała dobrze znany sobie głos, który przejął ją dreszczem.

— Czego chcesz ode mnie? — powiedziała śmielej niż zwykle. — Odczep się nareszcie, mam już wszystkiego dosyć.

— Nic z tego, będziesz dalej robić, co ci każe.

— A jeśli się nie zgodzę? Pewnie zaczniesz mnie zaraz bić.

— Gorzej! — głos jego był zimny, słowa padały ciężko i głucho w panujących ciemnościach. — Dużo gorzej! Zginiesz! Przestanieś istnieć. I nieprędko znajdą twego trupa.

— Nie boję się. Pójdę i powiem wszystko milicji. Niech się to raz skończy!

— Nic ci to nie pomoże. Nawet jeśli— mnie sypniesz, zrobią to za mnie inni. Nie jestem sam—A teraz słuchaj, mała dziwko, słuchaj i zapamiętaj dobrze. Nie zajmowałem się tobą dla twoich pięknych oczu, jesteś dla mnie niczym, zwykłą szmatą, którą wyciągnąłem z rynsztoka. Takich dziewczyn, jak ty, mogę mieć na pęczki, ale będziesz mi potrzebna i od ciebie tylko zależy, czy wyjdiesz ze wszystkiego obronną ręką. A jeśli postąpisz mądrze, możesz nawet na tym skorzystać, i to bardzo. Możesz stać się bogata jak gwiazda filmowa. A teraz uważaj, co ci powiem...

## IV

---

W siedzibie spółdzielni „Szlachetny Szlif” panował od rana niezwykle ruch i ożywienie, był to bowiem dzień imienin prezesa Stefana Karkowiaka. Wprawdzie prezes surowo przestrzegał zakazu urządzania z okazji prywatnych uroczystości wszelkiego, rodzaju libacji na terenie zakładu, zgodnie z okólnikiem Prezesa Rady Ministrów, lecz nic sposób mu było wymówić się od przyjmowania nic kończących się stereotypowych życzeń wraz z uściskami dłoni i całym naręczem kwiatów od licznych pracowników. W gabinecie jego wszystkie wazony przepelnione były gerberami, goździkami i różami, brzęczały nieustannie telefony, a cały personel gromadził się pod drzwiami, aby po kolei wziąć udział w ceremonii.

Karkowiak jak zwykle wystawił na dużym, porcelanowym talerzu drobne ciasteczka i otworzył pudełko czekoladek, zapraszając płynnym ruchem każdego z wchodzących pracowników. Na ten gest pozwalał sobie, choć w jego pojęciu cały ten bałagan związany z jego imieninami był wynikiem zbędnej egzaltacji

wymanikiurowanych i wyfryzowanych urzędniczek, czyhających na okazję do próżniactwa i wprowadzania ogólnego chaosu.

Dzisiejszy dzień w szczególnie sposób nie sprzyjał atmosferze imienin. Przed kilkoma dniami zginął śmiercią tragiczną w wypadku samochodowym Piotr Kazjer. młody człowiek i dobry szlifierz. Ponadto Karkowiak miał jeszcze inne powody do zmartwienia, musiał bowiem podjąć drastyczną decyzję, której wolałby uniknąć, gdyż w konsekwencji mogłaby przynieść przykre następstwa, ale do której czuł się moralnie zobowiązany. Odkrycie, którego wczoraj dokonał, w zasadzie zmuszało go do innych, jeszcze bardziej brzemiennych w skutki posunięć. Zastanawiał się tylko, czy nic poprzestać na razie na oficjalnym, ale tylko wewnętrznym zbadaniu sprawy i od jego wyników uzależnić ewentualnie nadanie jej dalszego biegu. Siedząc przy swoim biurku w przerwach między telefonami a powinszowaniami zaciskał nerwowo ręce, wpatrując się tępo w kąt pokoju. Pierwszy raz w życiu nic był zdecydowany, jaką przybrać postawę wobec rozgrywających się wokół wydarzeń. Musiał to jeszcze przemyśleć, przetrawić, a to wymagało czasu. Tymczasem ni stąd, ni zowąd wzmógł się ruch pod jego drzwiami, a wkrótce rozległo się dyskretne pukanie i do gabinetu wsunęły się we wdzięcznych podrygach dwie panie w kwiecie wieku: personalna, osoba o obfitych kształtach, we wzorzystej sukni o tonacji pomarańczowej oraz socjalna z misterną, wysoko stojącą koafiurą zdobiącą jej głowę.

— Panie prezesie — melodyjnie zaświergotała pani Lena, kierownik do spraw osobowych — bardzo przepraszamy, że przerywamy panu pracę, ale dziś jest dzień tak uroczysty i chociaż wiemy, że pan prezes tego nie lubi, postanowiłyśmy go uczcić.

— Upiekłam tort czekoladowy — nie wytrzymała socjalna, pani Kazia. — Wyśmienity, z kremem z bitej śmietany.

— A ja serniczek z rodzynkami — pospiesznie przerwała pani Lena.

— Zorganizowaliśmy w świetlicy małą kawkę z udziałem kilku pań i panów, tylko na parę minut. Panie prezesie — złożyła błagalnie pulchne ręce — niech pan nam nic odmawia. Raz jeden w ciągu dziesięciu lat — to chyba nic będzie wielkie przestępstwo.

— Dziękuję paniom bardzo, ale nie pora dzisiaj na to. Gdybym się zgodził, byłoby to precedensem dla dalszych tego rodzaju obchodów' zakłócających tok pracy. Nic, dziękuję raz jeszcze i kategorycznie odmawiam.

— Drogi prezesie, niech pan nic będzie taki zasadniczy. Pomyślałby kto, że jest pan chodzącą encyklopedią zarządzeń i instrukcji, a nie żywym człowiekiem — do gabinetu wszedł wysoki, tęgi mężczyzna w żółtej koszuli, odsłaniającej silny kark. Był to członek zarządu i kierownik techniczny, pan Bogdan. — Czy może pan odmówić kobietom? Ostatecznie wykonaliśmy plan z nadwyżką, wypracujemy dodatkowe zyski, możemy więc chwilę odpocząć.

— Ależ tak! — na progu gabinetu ukazał się Wojciech Bielski, zaopatrzeniowiec znany z elegancji i galanterii wobec płci pięknej. Czy wie pan, jak bardzo rozczarowane byłyby nasze panie? Tyle pracy i uczucia włożyły w te arcydzieła sztuki cukierniczej... Pozwoli pani, że ucałuję jej pracowite rączki — tu pan Wojciech wpił się wargami w dłoń pani Leny. — Trzeba mieć serce, prezesie. „*Miej serce i patrzaj w serce*” jak mawiał nasz wieszcz narodowy.

— Nic z tego, nigdy nie pozwolę na takie wybryki! — bronił się nadal Karkowiak.

— Ale z naszego prezesa twarda sztuka. Czas już skończyć ze złą tradycją. Panie Wojtku, bierzmy się za prezesa. Tu trzeba użyć siły — nie ma rady.



To mówiąc dwaj panowie otoczyli fotel Karkowiaka. wzięli go pod ręce i mimo dalszych objawów sprzeciwu, wśród pisków i śmiechu pań, wyprowadzili z pokoju. Karkowiak mógłby ostatecznie przeciąć te niewczesne dowcipy i wyprosić całe towarzystwo z gabinetu, ale podświadomie czuł, że tym razem przeciągnąłby strunę i w sumie straciłby wiele na z trudem wypracowanej popularności wśród najbliższych współpracowników. Buntując się więc wewnętrznie przeciw tak oczywistemu łamaniu regulaminu służbowego, którego był twórcą i naczelnym redaktorem, dał się prowadzić, a właściwie nieomal nieść, do świetlicy. Tu pośrodku stał stół przyozdobiony wielkim wazonem z kwiatami, zastawiony mnóstwem słodkich przysmaków, wśród których poczesne miejsce zajmował wysoko piętrzący się czekoladą i śmietaną ogromny tort.

Było już wiele osób: parę pań z księgowości, młodzianka sekretarka Wiesia, eksponująca wcale ładne, szafirowe oczy mocnymi pociągnięciami tuszu oraz kilku brygadzystów i pracowników z produkcji. Ostatnią weszła główna księgowa Barbara Małycka. również członek zarządu, wysoka, szczupła, skromnie, ale modnie uczesana brunetka w zielonej sukience.

— Prosimy, pani Basiu, koło prezesa — kierownik techniczny uprzejmie odsuwał krzesło po prawej stronie Karkowiaka. Tymczasem Wiesia lawirując między stłoczonymi gośćmi zaczęła już roznosić herbatę i kawę.

— Warto by wypić zdrowie prezesa, tylko nie ma czym — odezwał się brygadzysta Janczak.

— W tej spółdzielni, dopóki ja jestem prezesem, nie będzie picia alkoholu — Karkowiakowi żyły narzmiwały na szyi. Natychmiast zaczął żałować, że wbrew— swoim zasadom dał się wciągnąć w zasadzkę. — Poza tym nie zapominajmy, że niedawno zginął tragicznie jeden spośród nas i jeszcze nie został pochowany.

— Raz się żyje, raz się gnije — zauważył sentencjonalnie główny technolog, pan Genio, nigdy nie rozstający się ze skórzaną, czarną marynarką, która wprost zwisała z jego długiego tułowia ale, panowie, nie będziemy się z prezesem o to spierać. Nie życzy sobie picia, to go nie będzie. Spełnimy toast za jego zdrowie — herbatą.

Karkowiak machinalnie sięgnął po kawałek tortu.

— A może jednak kieliszek koniaku, prezesie? — usłyszał za sobą szydery, cichy głos. Odwrócił się szybko. Za nim, zgięty w służalczym ukłonie, z uśmiechem na wargach stał Wilczek.

— Jeżeli to ma być prowokacja, panie Wilczek, to bardzo proszę za parę minut do mego gabinetu.

Mimo zabiegów pań, usiłujących wprowadzić Karkowiaka w dobry humor, przyjęcie zakończyło się niemal w błyskawicznym tempie, gdyż nie bacząc na wymogi dobrego wychowania prezes wstał od stołu nie dopiwszy nawet kawy i skinął ręką na siedzącego nie opodal Wilczka.

Matycka zmarszczyła brwi i wydymając wargi też wstała, dając tym hasło do ogólnego powstania. Tylko pani Lena została z tragiczną miną nad dwoma kawałkami tortu, które uprzednio nałożyła sobie na talerz.

— No i co też ma mi pan do powiedzenia, prezesie? — zapytał Wilczek, stając przed biurkiem Karkowiaka na szeroko rozstawionych nogach.

— Bardzo wiele, ale w związku z pana dzisiejszym zachowaniem powziąłem już decyzję, chociaż początkowo nie chciałem całej sprawie nadawać rozgłosu, a załatwić ją w trybie postępowania wewnątrzspółdzielczego. Byłoby to jednak sprzeczne z podstawowymi normami etyki. Jestem pewien, że pana działalność ma znamiona przestępstwa. Oznajmiam panu, że na jutro zwołam plenum rady spółdzielni, które zawy-

rokuje o pana dalszym członkostwie w naszym gronie. Jednocześnie jednak zmuszony będę o pewnych faktach zasignalizować organom ścigania.

— Ma pan jakieś konkretne zarzuty?

— Tak i przedstawię je jutro na plenum. Pan mnie prześladowa, panie prezesie. Chodzi pan za mną, szpieguje mnie, a czy to ładnie? Szczególnie gdy się samemu ma coś niecoś na sumieniu. Znam takiego jednego gościa, co kolegował z panem we Wronkach... Na pana miejscu byłbym bardziej wyrozumiały dla ludzkich słabostek. Jeżeli się nie mylę, prezesa też można odwołać, a zrobić to może właśnie ta sama rada, którą mi pan grozi, jeżeli się coś więcej o panu dowie. Nic, nie to, żebym miał pana straszyć, ale jeżeli zajdzie konieczność...

Karkowiak poczuł, że krew uderza mu do głowy. Miał nadciśnienie i parę lat temu groził mu wylew. Pierwszy raz utracił na terenie pracy panowanie nad sobą. Zerwał się z miejsca i wyciągnął rękę w kierunku drzwi.

— Precz! Precz! — krzyknął. — I żebym tu pana więcej nie widział!

— Nie tak ostro, prezesuniu, możemy się jeszcze dogadać. Szkoda byłoby takiego dobrego stołka, jak się ma taką szykowną żonkę, jak pan. No nie? Nie wiem w końcu, co ma pan przeciwko mnie, ale...

— Dosyć! Dosyć! — Karkowiakowi głos zamierał w gardle. — Proszę stąd wyjść, bo nie ręczę za siebie!

Odgłosy kłótni musiały dotrzeć do sekretariatu, bo ledwie za Wilczkiem zamknęły się drzwi, ukazała się w nich głowa Wiesi z rozszerzonymi zdumieniem oczami.

— Pan prezes mnie wołał? — zapytała.

— Nic — powiedział. — Nic. Już późno, niech pani idzie do domu.

— Czy pan prezes zabierze ze sobą kwiaty? Mogę je razem związać...

— Nie — odparł szybko, ale natychmiast przypomniał sobie, jak bardzo Wira lubi kwiaty. — A zresztą... zabiorę. Niech je pani przygotuje. Ja jeszcze trochę zostanę. Mam dużo pracy.

Usiadł przy biurku i zakrył twarz rękoma. Zza drzwi przez pewien czas dochodziły odgłosy kroków i rozmów, kończących pracę urzędników, potem zapanowała cisza, przerywana jedynie monotonnym szumem wentylatora.

Czas mijał szybko, a on nic mógł w żaden sposób uporać się z rozsadzającym czaszkę natłokiem myśli, które w błyskawicznym tempie przelatowały jedna po drugiej, przywołując z mroków niepamięci fragmenty różnych zdarzeń i faktów.

Pragnął odgadnąć, od kogo, drogą jakich przecieków Wilczek dowiedział się o tej ciemnej karcie w jego życiu, jaką był dwuletni pobyt w więzieniu, ale żadne skojarzenie nie miało cech prawdopodobieństwa. Było to już tak dawno, sam prawie zapomniał... Kiedyś jako młody człowiek, pracując na stanowisku kasjera w instytucji państwowej, dopuścił się kradzieży. Właściwie skusiła go superata, która — jak się okazało, miała pokrycie w dokumentacji i polegała na błędzie w wyliczeniu. Był wówczas w trudnej, przymusowej sytuacji: chora żona, małe dziecko, dlatego sąd, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, wymierzył mu karę dwóch lat więzienia. W zakładzie karnym nieustannie pracował nad sobą, zahartował się wewnętrznie i przysięgł, że odtąd praca i uczciwość będą dla niego wszystkim. Obietnicy tej, danej samemu sobie, do-

trzymał. Najpierw pracował jako robotnik, potem dokształcił się, wyróżnił w pracy społecznej i wreszcie doszedł do samodzielnych stanowisk. I oto teraz, kiedy osiągnął to wszystko, co zamierzał, kiedy zdobył u władz i przełożonych reputację nieskazitelnego, sumiennego pracownika, przedkładającego obowiązek nad wszystko, zjawia się człowiek, który wydobywa z najtajniejszych zakamarków' jego przeszłości ten tragiczny i tak brzemenny w skutki epizod, aby wyrzucić nań moralną presję. Tylko w jaki sposób i od kogo się dowiedział? Człowiek, z którym siedział w jednej celi. Już dawno nie żył, poza tym nigdy nie zetknął się z żadnym innym towarzyszem z celi, od tego czasu zdążył się zestarzeć, zmienić wygląd. Wówczas nie mieszkał w Warszawie, zdarzyło się to na prowincji. Istniała jedna szansa na milion, że fakt ten mógł wypłynąć.

Czuł, że nie przeżyje, jeżeli jutro Wilczek w czasie posiedzenia plenarnego rady powie z właściwym sobie cynizmem, że ich świetlany prezes był w swoim życiu karany za sprzeniewierzenie państwowych pieniędzy...

Krew gorącymi falami raz po raz napływała mu do głowy. Wyciągnął chustkę i otarł pot z czoła. Celowo został jeszcze w biurze, chociaż wiedział, że Wira czeka z niecierpliwością. Ale właśnie jej nie chciał się w takim stanie pokazywać na oczy.

Wira! Z jaką twarzą zjawi się przed nią, uwielbianą przez siebie istotą, która z takim zaufaniem powierzyła mu siebie i całą swoją przyszłość, kiedy odkryje się ta fatalna karta jego życia, a on zostanie na bruku bez pracy? Wiedział dobrze, że w takim przypadku duma i godność osobista nie pozwolą mu dalej piastować tak odpowiedzialnego stanowiska, A ona? Czy zechce być żoną prostego robotnika, dzielić z nim towarzyską banicję i uciążliwość dnia powszedniego? Wierzył w nią mocno, gorąco, ale nie mógł i nie chciał narażać jej na niedostatek, na tak diametralną zmianę warunków. I co jej powie? Że był złodziejem, więźniem, malwersantem?...

Jednak musi już wracać do domu. Zrobiło się późno. Wstał ociężale i oparł się o biurko. W tej samej chwili ostro zabręczał telefon. Czyżby jeszcze jedno spóźnione życzenie? A może to Wira, zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością w domu?

— Słucham — powiedział ochryple, nieswojo.

— Dzień dobry, tato — cichy, niewyraźny głos zaszemrał w słuchawce. Czuł, że drętwieje mu kark, a język całkowicie odmawia posłuszeństwa.

— Tato. czy słyszysz mnie? — głos zabrzmiał natarczywiej. — Mówi Danuta.

— To ty? — powiedział wreszcie. — Jak mnie znalazłaś? Dlaczego nic odzywałaś się tak długo?

— Wszystko ci opowiem. Tato! Musimy się jeszcze dzisiaj koniecznie zobaczyć. Potrzebuję twojej pomocy, zaraz, natychmiast!

Cała przeszłość odżyła w mgnieniu oka z niespodziewaną siłą. Nagle przed oczyma zobaczył Danę jako małą dziewczynkę, z umorusaną buzią, w krótkiej różowej sukience, z jasnymi, sztywno sterczącymi warkoczykami, biegnącą do niego, kiedy wraca do domu. aby od razu usiąść mu na kolanach. Uświadomił sobie, jak przeraźliwie za nią tęskni!, jak bardzo chciałby mieć ją znów przy sobie.

— Co się stało?! Mów! Czy jesteś chora? Gdzie byłaś tak długo? — rzucił przez ściśnięte gardło.

— Teraz nie mogę mówić. Dowiesz się, jak się zobaczymy. Uważaj dobrze: przyjeżdż o dwudziestej drugiej na skrzyżowanie dróg koło Lasu Kabackiego. Niedaleko stamtąd jest zajazd „Stara Strzecha”. Będę stała na poboczu i paliła latarkę.

— Ależ, dziecko, dlaczego aż tam? Przyjdź do nas do domu. Możesz u nas zamieszkać. Nie będzie ci grozić żadne niebezpieczeństwo. Moja żona bardzo pragnie cię poznać...

— Ach, tato! Ty nic nie rozumiesz! Nie mogę do ciebie przyjść. Wszystko ci potem wyjaśnię. Wiedz tylko jedno: to dla mnie kwestia życia i śmierci. Jeżeli nie przyjdiesz — zginę! I weź ze sobą dwadzieścia tysięcy, koniecznie!

— Wiem, że zawsze chodziło ci i chodzi tylko o pieniądze. Ale przecież mogę ci je dostarczyć inaczej, rękonięcznie tam. Dzisiaj żona na mnie czeka.

— Zrobisz, jak zechcesz! W takim razie nie zobaczysz mnie już nigdy. Oni mnie zabijają! — w głosie dziewczyny zabrzmiała nuta prawdziwego strachu.

— Co za oni? O kim ty mówisz?! — serce w nim drgnęło i podskoczyło do gardła. Więc dobrze! Będę tam, gdzie chcesz, o dwudziestej drugiej.

— W takim razie czekam — dobiegł go stuk odkładanej słuchawki.

Nie wiedział, w jaki sposób zdołał dotrzeć do domu. Wszystkie przerażające wydarzenia i przeżycia tego dnia zwały go niemal z nóg. Jednak nie zapomniał zabrać dla Wiry kwiatów, które zajęły prawie całe tylne siedzenie wozu. Drzewa, budynki, ulice tańczyły mu przed oczyma, cudem chyba uniknął wypadku.

Wira otworzyła mu drzwi z wyrazem troski i zaniepokojenia na twarzy. Mimo wszystko zauważył, że ma na sobie seledynową, zwiewną suknię, odsłaniającą ramiona i że jest cudownie, wprost boleśnie piękna.

— Dlaczego nie przychodziłeś tak długo? — powiedziała z wyrzutem. — Od dawna czekam z kolacją. Właśnie przed chwilą telefonowałam do ciebie, ale nikt nie odpowiadał.

— Wierz mi — nie mogłem.

— Przygotowałam befsztyki i frytki. Wszystko wystygło — ciągnęła z nutką niezadowolenia w głosie. Karkowiak wiedział, że przywiązywała dużą wagę do kolacji imieninowych. Nic prowadzili prawie wcale życia towarzyskiego, żyli tylko dla siebie i to im wystarczało. Jednak święta i inne uroczystości odbywały się w specjalnej, intymnej scenerii, która zawsze była jej dziełem.

Poszedł do łazienki, pospiesznie ochłodził wodą rozpalone czoło. W tym czasie Wira układała bukiety w wazonach, oddzielała jeden gatunek kwiatów od drugiego.

— Jakie piękne — powiedziała z uznaniem. — I ile! Mój mąż jest szalenie popularny. Jestem zazdrośna, chyba dziewczyny się w tobie kochają.

Wtedy powiedział krótko:

— Danką dzwoniła.

Zbladła, oczy jej pociemniały, a jeden z goździków upadł na podłogę. Powtórzył jej dokładnie całą rozmowę telefoniczną. Słuchała go uważnie, trzymając za rękę.

— Myślę, że sprawa jest poważna? oświadczyła. — Ona musi mieć jakieś wielkie kłopoty.

— Ale czy jechać tam na to spotkanie? Milczała chwilę, mnąc w rękę płatkę kwiatu.

— Naprawdę nie wiem, co ci radzić. Nie mogę cię przecież zatrzymać. Bo jeżeli jej grozi rzeczywiście jakieś niebezpieczeństwo? Jeżeli to nie jest tylko próba wyłudzenia pieniędzy? Mógłbyś mi nigdy nic prze-

baczyć, że cię zatrzymałam. Ale, mój Boże, dlaczego akurat w twoje imieniny — wybuchnęła, a w jej oczach pojawiły się łzy. — Tak chciałam w spokoju spędzić z tobą ten wieczór.

Długo gładził ją po głowie.

— Mam jeszcze trochę czasu, możemy zjeść kolację. Przecież prędko wrócę.

Uśmiechnęła się i szybko podała mu do stołu. Jedzenie było smaczne, świeże, ale nic miał apetytu. Zmusił się tylko do przełknięcia kilku kęsów.

— Tort zjem później — powiedział zawiązując szalik, już prawie na progu. — Poczekaj na mnie. nie bądź łakomczuchem — dodał żartobliwie, chociaż wiedział, że Wira sama nie tknie niczego.

Jechał już uspokojony, rozmowa z żoną podziałała na niego kojąco. Przecież wszystko może się dobrze zakończyć. Na razie usiłował nie myśleć o tym, co go czeka jutro w spółdzielni.

Mrok już zapadł, ostatnie domy warszawskie mały w oddaleniu. Przydrożne drzewa gięły się w podmuchach porywistego wiatru, który zerwał się nieoczekiwanie. Kiedy dojeżdżał na umówione miejsce, w pierwszej chwili nikogo i niczego nie dostrzegł. Wysiadł z samochodu i rozejrzał się wokoło. Było cicho, pusto, nawet wiatr jakby przywarł do ziemi. I wtedy zobaczył pod jednym ze stojących opodal drzew krąg światła rzucanego przez latarkę. Zamknął drzwi i szybkim krokiem podążył w tym kierunku. Nic zdążył jednak ująć daleko. Poczul tępe uderzenie w głowę. Cały świat zawirował w jakimś diabolicznym tańcu.

Najpierw przyklęknął na jedno kolano, a potem miękkiem ruchem osunął się na asfalt szosy.

## V

---

Dziewczyna, która weszła do pokoju, w którym urzędowali adwokaci, zwróciła na siebie powszechną uwagę. Była wysoka, smukła i doskonale ubrana. Nosila ciemnogramatowy kostium, świetnie dopasowany do jej figury, a na głowie miała małeńki toczek z krótkim, czarnym welonem, świadczącym o tym, że jest w Żałobie. Spod kapelusika wymykały się długie jasnoniebieskie włosy. W ręku trzymała czarną, skórzaną, portfelową torebkę i czarne rękawiczki. Stała w progu, jakby wahając się „do kogo podejść”, ale trwało to tylko mgnienie oka i natychmiast zdecydowanym krokiem ruszyła naprzód. Wejście jej spowodowało małe zamieszanie, gdyż mężczyźni, zarówno adwokaci, jak i klienci, oderwali się od swoich spraw, aby na nią spojrzeć, a mecenas Wirczuk, znany koneser kobiet, podniósł się nawet ze swego miejsca pytając:

— Czy pani do mnie?

Poruszyła przecząco głową i zbliżyła się do biurka, przy którym siedziała adwokat Teresa Molnicka.

— Dzień dobry — powiedziała. — Ja do pani mecenas. Czy można?

— Bardzo proszę — Teresa uprzejmym ruchem wskazała jej krzesło naprzeciw siebie. — Słucham panią.

Usiadła wolno, ostrożnie i przez dłuższą chwilę milczała, jakby zbierając myśli:

— Nazywam się Krystyna Kazjer. przyszedłam do pani z prośbą o poprowadzenie sprawy spadkowej po moim zmarłym mężu.

— Czy mąż pani posiadał nieruchomości albo inne walory podlegające spadkobranium? — zapytała Molnicka.

— Tak Niewielki domek z działką w okolicach Warszawy i dwa place w Michalinie

— Czy państwo mieli dzieci? Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie, byliśmy dopiero dwa miesiące po ślubie. Mąż zginął tragicznie w wypadku samochodowym.

— Czy mąż pozostawił testament?

— Nie. na pewno nie. Był młody, nie myślał o śmierci.

— W takim razie dziedziczy pani z ustawy. Należy jednak ustalić krąg spadkobierców. Czy mąż miał rodziców, dziadków, względnie rodzeństwo?

— Mąż jest... to znaczy był — poprawiła się szybko — ... jedynakiem. Matka zmarła dwa lata temu. a ojciec jest obywatelem francuskim i mieszka stałe w Paryżu.

— Hm... To poważnie upraszcza sprawę. Złożymy w takim razie wniosek do sądu o stwierdzenie praw do spadku. Zaraz powiem, jakie należy przygotować dokumenty. Przypuszczam, że orzeczenie sądu zapadnie szybko i bez żadnych komplikacji. Proszę o podpisanie pełnomocnictwa — Teresa machinalnym ruchem sięgnęła po urzędowy blankiet. W tej samej chwili zupełnie przypadkowo napotkała jakby spłoszone i nieco lękliwe spojrzenie młodej kobiety.

— Pewno wyda się to pani dziwne, pani mecenas, ale na tym nic koniec. Mam do pani jeszcze jeaną poważną prośbę, ale chciałabym, żebyśmy na ten temat porozmawiały gdzie indziej, może w jakiejś cichej kawiarni. O ile poświęci mi pani trochę swego cennego czasu, mogłybyśmy podjechać na przykład w okolice Starego Miasta. Odwiozę potem panią do domu samochodem. Oczywiście teraz podpiszę pełnomocnictwo — szybko sięgnęła do torebki po długopis i skreśliła wc wskazanym przez adwokatkę miejscu swoje nazwisko.

Molnicka zaskoczyła ta propozycja. Zawsze starała się zachować dystans wobec swych klientów. Z zaciekawieniem spojrzała prosto w twarz siedzącej po drugiej stronie biurka dziewczyny. Zauważyła, że jest bardzo młoda, być może nie ma ukończonych nawet dwudziestu lat i że ta jej dziewczęcość tłumi wyszukana i wystudiowana elegancja ubioru. Coś w wyrazie jej oczu i skrzywieniu warg. powleczonej jasnoperłową szminką sprawiło, że ni stąd, ni zowąd poczuła dla niej współczucie. Wydało się jej. że istotnie potrzebuje ona pomocy i szuka w niej oparcia, tylko nie wie, jak to wyrazić w słowach.

— Kto panią do mnie przysłał? — zapytała zamiast udzielić odpowiedzi.

— Pani Irmina Ryńska — odparła szybko, powołując się na znajomą Teresy, żonę docenta Ryńskiego, znanego warszawskiego ginekologa. Rekomendacja była więc nader pewna i solidna. Teresa jeszcze przez

chwilę wahała się, ale ostatecznie godziny przyjęć już się skończyły, a ponadto nie miała na ten wieczór żadnych planów.

— Czy rzeczywiście nic możemy tu porozmawiać? — upewniła się jeszcze.

— Wolalabym gdzie indziej — młoda wdowa rozejrzała się dookoła i lekko wzruszyła ramionami.

— Proszę chwilę poczekać, zaraz będę gotowa — Molnicka wstała i sięgnęła do szuflad po kilka pękających teczek z aktami.

— Zejdę na dół i uruchomię wóz — powiedziała młoda klientka.

Kiedy siedziały już w małej, przytulnej kawiarence przy Rynku Starego Miasta, w ciemnej salce, rozjarzonej tylko kilkoma czerwonymi żarówkami. Krystyna Kazjer zwróciła się do Teresy z nieoczekiwanym zapytaniem:

— Pani mecenas, czy pojechałaby pani ze mną do Paryża?

— Jak pani to sobie wyobraża? — roześmiała się Teresa. — Proponuje mi pani nagle wyjazd za granicę, jakby to była wyprawa po grzyby do podwarszawskiego lasu. Poza tym, w jakim celu miałabym z panią pojechać i dlaczego właśnie ja?

— Zaraz to wyjaśnię. Otóż nie jest to zwyczajna podróż turystyczna. Wchodzi w zakres sprawy, którą chcę pani powierzyć, a sprawa ta jest skomplikowana. Wybieram się w drogę samochodem, aby mieć swobodę poruszania się po Paryżu, a może nawet po całej Francji i wszystkie koszty związane z przejazdem ja ponoszę, a poza tym zapłacę pani oddzielne honorarium.

— Chyba zdaje sobie pani sprawę, że tego rodzaju wyjazd wymaga załatwienia wielu formalności, które niejednokrotnie dość długo trwają. Ponadto jestem praktykującym adwokatem, w związku z czym nie mogę rzucić wszystkich terminowych spraw dla kaprysu. Nie, pani Kazjer raczej musi sobie pani poszukać innej towarzyszkii.

— Nie wysłuchała mnie pani do końca, pani mecenas. Jadę, aby zawieźć zwłoki mego męża do Paryża na prośbę i życzenie jego ojca, który pragnie je złożyć na cmentarzu Pere Lachaise, w grobie rodzinnym.

— Pani wybaczy, ale nie jestem karawaniarzem ani konwojentem zwłok. Żle pani trafiła.

— Ach, przepraszam... Musiałam się nieodpowiednio wyrazić. Zwłoki męża zostały skremowane w Poznaniu w krematorium i prochy jego znajdują się w małej urnie, w metalowym opakowaniu, które nie zajmie wiele miejsca w samochodzie. Mam już wszystkie potrzebne dokumenty w tym celu, łącznie ze specjalnym pozwoleniem — sięgnęła do torebki i położyła na stoliku plik papierów, zaopatrzonych w urzędowe pieczęcie.

Teresa z nawyku profesjonalnego przejrzała je, stwierdzając, że są absolutnie autentyczne i wiarygodne.

— No, a jaka ma być w tym wszystkim moja rola? — zapytała po chwili.

— Pani rola, pani mecenas, zacznie się dopiero w Paryżu. Otóż mąż mój, jak się okazuje, ma tam zapisaną przez swą zmarłą babkę dużą nieruchomość. Jednak sprawa ta jest sporna, gdyż rości sobie do niej prawo jeszcze kilka osób. Adwokat paryski, zresztą Polak z pochodzenia, pan Wrzawa—Sielicki zawiado-

mił mnie o tym listownie. Wiem, że sama nie dam sobie z tym problemem rady, potrzebna mi będzie pomoc prawna. Być może, że dojdzie do ugody, jednak obawiam się, że mogę zostać pokrzywdzona.

— Sprawy spadkowe obywateli polskich za granicą załatwia odpowiedni departament Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Wiem o tym, ale wydaje mi się, że w Paryżu wchodzić będzie w grę wyłącznie kwestia odszkodowania. Nie znam się na przepisach, na przysługujących mi uprawnieniach, więc pomoc pani byłaby dla mnie nieoceniona. Zresztą, pani mecenas, czy nie mogłaby pani potraktować tego wyjazdu jako urlopu? Przecież wszystko załatwię: hotel, utrzymanie, a poza tym otrzyma pani honorarium w dewizach.

— O tym porozmawiamy później. Jestem członkiem zespołu adwokackiego i obowiązują mnie pewne rygory, których bezwzględnie przestrzegam. Przyznam się jednak, że chętnie pojechałabym na miesiąc do Paryża. Byłam tam przed kilku laty, ale to miasto przyciąga jak magnes— Poza tym nic wszystko wtedy zdołałam zwiedzić. Oczywiście miałam inne plany urlopowe, ale pani propozycja zaczyna mnie trochę kusić. Nic jednak nie obiecuję, bo nie wiem, czy pozwoli mi na dłuższy wyjazd praca zawodowa.

Na twarzy dziewczyny, dotąd napiętej i pobladłej, odmalowało się widoczne odprężenie. Molnic—ka raz jeszcze przyjrzała się jej badawczo. Teraz, w tych półcieniach, w drżących światłach lampek klientka wydawała się jeszcze młodsza.

— Ile pani ma lat? — nie mogła powstrzymać się od tego pytania.

— Za kilka dni kończę dwadzieścia — odpowiedziała.

— Mój Boże! I już zdążyła pani wyjść za mąż i owdowieć. A pani matka, ojciec, rodzeństwo? Czy w końcu ktoś z pani rodziny nie mógłby z panią pojechać?

— Wychowywałam się w sierocińcu — usta dziewczyny ścisnął ledwo dostrzegalny, bolesny grymas..

— I akurat mnie upatrzyła sobie pani na opiekunkę i towarzyszkę?

— Wiele osób ma do pani zaufanie, pani mecenas.

— Dziękuję, ale ja naprawdę jeszcze nic nie mogę pani przyrzec. Jedno jest pocieszające, że w tym roku nie wykorzystałam urlopu wypoczynkowego, choć projektowałam jesienny wyjazd w góry. Za kilka dni dam pani odpowiedź.

Jadąc swoim „maluchem” do domu, a potem w czasie ceremoniału popijania mocnej, wieczornej herbaty Teresa ciągle myślami wracała do swojej dziwnej klientki. Wprawdzie podróż z urną, zawierającą prochy nieboszczyka męża, miała posmak makabry, ale mimo wszystko perspektywa wyjazdu do Paryża była wcale kusząca. Nieźle byłoby pospacerować wzdłuż Champs Elysees, zajrzeć do magazynu Rodina, do sklepu z materiałami Dreyfuesse'a koło placu Pigalle, powąłęsać się po Pchlim Targu, raz jeszcze wjechać na szczyt wieży Eiffla, trochę dokładniej, bez pośpiechu zwiedzić Luwr, rozsmakować się w atmosferze uliczek na Montmartrze. Przed zaśnięciem, już z na wpół zamkniętymi powiekami uświadomiła sobie, że właściwie podjęła decyzję na samym początku.

„Chyba już jutro zacznę załatwiać formalności. Ostatecznie Wirczuk może przejąć moje sprawy na miesiąc zamiast wiecznie uganiać się za babkami. Tylko dlaczego ta mała była taka zastracha—na? Wyglądała jak dziecko, które przed chwilą otrzymało klapsa. No, ale w końcu nie można się jej dziwić —jest taka młoda i samotna. Myślę, że powinnam jej pomóc”.



I w tym momencie w czułym sercu Teresy, gotowej do ofiarnego służenia wszystkim bliźnim, rozkwitłyby może nawet uczucia macierzyńskie, gdyby nie ogarnął jej głęboki, dobrze zasłużony sen.

## VI

---

Osobnik siedzący naprzeciw porucznika Leszka Warowskiego w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej zdradzał wyraźne obawy zdenerwowania. Miał ustawicznie swój kapelusz, doprowadzając go do ostatecznej ruiny, a drugą ręką ocienił obficie zroszone potem czoło i łysinę z resztkami farbowanych włosów. Na jego nalanej, rumianej twarzy z silnie podpuchniętymi oczyma malowało się zażenowanie, połączone z nic dającym się ukryć strachem.

— Panie Brzęczek — porucznik spokojnie pochylił się nad rozłożonymi na biurku aktami — czy chce pan nam raz jeszcze zrelacjonować przebieg wydarzeń, jakie miały miejsce dnia trzeciego września o czwartej nad ranem w pobliżu motelu „Stara Strzecha”? Ostatnie pana zeznania były chaotyczne, tak że brak nam wielu szczegółów, mogących mieć duże znaczenie dla dalszego biegu śledztwa.

— Służę, panie poruczniku, chętnie służę. — Brzęczek uniósł się i zgiął w ukłonie, opuszczając na podłogę nieszczęśny kapelusz. — Ja z władzami zawsze jestem w porządku, pan może sprawdzić... Moje interesy są absolutnie czyste, podatki płacę akuratnie, nigdy od niczego się nie uchylam...

— Ależ, panie Brzęczek — przerwał Warowski — doskonale wiemy, że prowadzi pan wytwórną długopisów na Stalowej. Nikt do pana nie ma pretensji. Chodzi o to, żeby pan spróbował się dobrze skoncentrować i raz jeszcze opowiedział, jak to było trzeciego września, kiedy pan wyjechał z motetu na szosę koło Lasu Kabackiego.

— Ja już wszystko powiedziałem, ale jak pan porucznik sobie życzy... No, właśnie wyjechałem z zjazdu samochodem. Trochę już dniało, ale jeszcze było szaro, zresztą dzień potem był deszczowy. Już chciałem wjechać na szosę, ale patrzę ktoś leży, czy może coś... Nie wiedziałem... Tak zaraz koło rowu... Początkowo myślałem, że to jakiś worek spadł komuś z wozu, czy z ciężarówki i chciałem wyminąć, ale ciekawość mnie zdjęła i wysiadłem. Patrzę, schylam się i skóra na mnie cierpie. To był człowiek... mężczyzna... Zresztą pan porucznik sam dobrze wie...

— W jakiej pozycji leżał?

— Tak jakoś na brzuchu, ręce miał rozrzucone, a koło niego teczka.

— Czy pan go dotykał?

— Broń mnie Boże! Najpierw myślałem, że jest pijany, ale coś mi się nie podobało, że jest taki nieruchomy. Jeszcze bardziej schyliłem się i aż mnie zemdliło... Tam koło niego i pod jego głową była krew, cała masa lepkiej i gęstej krwi. Aż do dzisiaj ciarki mnie przechodzą, jak to wspominam.

— Poprzednio pan zeznał, że usłyszał pan kilka słów wypowiedzianych przez owego mężczyznę. Czy pan to podtrzymuje?

— Ależ oczywiście, jak najbardziej. Kiedy się tylko pochyliłem, ten człowiek zacharczał, jęknął i zaczął coś mówić, a właściwie mamrotać. Nie mogłem wszystkiego zrozumieć, ale pomyślałem, że to może jego ostatnia wola i nadstawiłem ucha chociaż przyznam się — początkowo chciałem jak najprędzej stamtąd uciec, bo z nieboszczykiem nie bardzo lubię mieć do czynienia i wiem, że nic z tego oprócz kłopotów wyniknąć nie może.

— Proszę więc dokładnie powtórzyć to, co pan usłyszał.

— To było niewyraźne, bo w nim bulgotało jak w kotle, ale kilka słów rozumiałem. Mówił szybko i tylko oderwane wyrazy bez związku: Hala, Hala, Danka, Danka, jeszcze raz Hala, a na końcu Wyr. czy Wira. A potem ucichł.

— Panie Brzęczek, niech się pan postara dokładnie przypomnieć sobie, czy to wszystko. Czy może jeszcze coś pan usłyszał? Zaznaczam, że to może mieć wielką wagę dla sprawy.

Na okrągłej twarzy Brzęczka odmalowała się powaga, świadcząca o intensywnej pracy jego mózgu. Dłuższą chwilę trwało milczenie, wreszcie zwilżył koniuszkiem języka zeschnięte wargi:

— Nic a nic więcej nie mogę powiedzieć. To wszystko, co wiem. Zresztą, czy był czas na dalsze wsłuchiwanie się? Człowieka trzeba było ratować! Wróciłem pędem do motelu, obudziłem właściciela i zaczęliśmy dzwonić na pogotowie.

— I słusznie pan postąpił. Ale, panie Brzęczek, czy oprócz pana był w pańskim samochodzie ktoś jeszcze?

Brzęczek tak niespokojnie poruszył się na krześle, jakby go obsiadły tysiące mrówek.

— Nie — zaprzeczył gwałtownie. — Byłem absolutnie sam.

— To znaczy, że noc z drugiego na trzeciego września spędził pan samotnie w motelu?

Zdenerwowanie Brzęczka osiągnęło punkt kulminacyjny.

— No... niezupełnie. To jest... chciałem powiedzieć, że byłem w pewnym towarzystwie... Sam pan rozumie, panie poruczniku... między nami mężczyznami, ma się czasem swoje małe grzeszki, o których nikt nie powinien wiedzieć. No, jak muszę, to powiem... Była ze mną jedna pani, to jest moja pracownica, ale ona nic nie widziała, zostawiłem ją w motelu. Żonie powiedziałem, że wyjeżdżam po surowiec do Poznania. Ale, jak Boga kocham, panie poruczniku, proszę o dyskrecję, bo gdyby moja stara... — Brzęczek dostał niemal drgawek.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny — porucznik mimo powagi sprawy uśmiechnął się niedostrzeżalnie. — Pana życie prywatne nic nas nie obchodzi. Najważniejsze, że ma pan alibi — i dla nas. i dla domu. O jedno tylko pana proszę: gdyby pan cokolwiek jeszcze sobie przypomniał, choćby jedno słowo, które powiedział człowiek znaleziony na szosie, to proszę natychmiast nas zawiadomić — Oczywiście, nic omieszkać, ale bardzo włąpię. Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy. — Brzęczek, krygując się jak halcni-

ca. na znak dany mu przez porucznika wstał ze swego miejsca. A ten człowiek, właśnie, jeśli można wiedzieć, co z nim?

— Zmarł w drodze do szpitala odpowiedział porucznik Warowski.

— No i jak, Leszku? — do pokoju, ledwie drzwi zamknęły się za Brzęczkiem, wszedł kapitan Jerzy Broński.

— Nic więcej nie można z niego wydobyć. Mówił, że słyszał tylko te trzy słowa: Hala, Danko. Wira.

— Ciekawe, że lekarz i sanitariusz, wiozący rannego karetką reanimacyjną również słyszeli to samo. Jak widać nasz denat był niezgorszym donżuanem, chociaż sądząc po wyglądzie zewnętrznym nie można go o to podejrzewać.

— Nie zapominaj, że pracował na stanowisku prezesa dużej spółdzielni, a to stwarza szereg okazji w tej dziedzinie. Jeżeli chodzi o imię Wira.— to tak nazywa się jego żona. W ostatniej sekundzie swego życia ją właśnie wspomniał. Pozostaje jeszcze do ustalenia, kim były dla Karkowiaka dwie pozostałe kobiety: Halina i Danuta i jaki jest ich ewentualny związek z dokonany morderstwem. Jedno jest pewne: nie było to bredzenie konającego, on w ten sposób chciał coś przekazać. szukał obecności jakiegoś człowieka przy sobie. Doktor wiozący go do szpitala twierdzi, że Karkowiak w pewnej chwili podniósł głowę i usiłował przywołać go spojrzeniem. Niestety, kiedy doktor pochylił się nad nim, było już za późno. Na razie zaprosiłem do nas jedną z tych trzech kobiet — panią Elwirę Karkowiakową.

## VII

---

— Czy zdekonspirowałeś już owe tajemnicze niewiasty: Halinę i Danutę? — zapytał kapitan Broński Warowskiego. nawiązując do przeprowadzonego przez porucznika przesłuchania pracowników spółdzielni „Szlachetny Szlif w jej siedzibie.

— Wyobraź sobie, że nie — porucznik lekko potargał swoją bujną czuprynę, co zwykł był czynić od-  
ruchowo, w przypadkach kiedy praca jego nie dawała pozytywnych rezultatów. — Wszyscy, począwszy od  
członków zarządu, to jest zastępcy prezesa do spraw technicznych Bohdana Jemieli, głównego mechanika  
Bielskiego i głównej księgowej, eleganckiej babki w średnim wieku, a skończywszy na personelu technicz-  
nym, wygłosili szereg peanów na cześć zmarłego prezesa, podnosząc jego liczne zasługi w zakresie troski o  
dobra materialne i socjalne pracowników. Cała załoga wstrząśnięta jest śmiercią jego. jak również brygadzi-  
sty Kazjera. który przed kilkoma tygodniami zginął w wypadku samochodowym. Okazuje się, że Karko-  
wiak był niesłychanie uczciwy, rzetelny, aczkolwiek wymagający jako zwierzchnik, może nawet zbyt za-  
sadniczy w swoich działaniach i za skrupulatnie przestrzegający wszystkich przepisów, a taka postawa nic  
zawsze zjednuje sobie popularność.

— W czym się przejawiała ta nadgorliwość?

— Zapewne w sprawach różnorakiego kalibru: poważnych i błahych. Na przykład był zagorzałym wrogiem wszelkiego rodzaju przyjęć i poczęstunków w czasie pracy. A już o piciu nic mogło być mowy, bo to groziło każdemu zwolnieniem w trybie natychmiastowym. Rozumiesz — żadnego luzu, kompromisu w tym zakresie. Pracuś, jakich mało. Na przyjęcie imieninowe, które mu urządzono, wciągnięto go po prostu siłą.

— Ale chyba nic dlatego go zabito?

— Nie żartuj. W tym wszystkim tkwi coś głębszego, czego jeszcze nic mogę się doszukać. Przecież wszyscy go chwalili, uważając za człowieka bezkonfliktowego, nic mającego z nikim żadnych zatargów. Jedynie sekretarka denata, Wiesława Daczkówna, stwierdziła, że w czasie krótkiego przyjęcia w dniu swoich imienin okazywał pewne zdenerwowanie, wstał nagle od stołu, a potem w swoim gabinecie pokłócił się z jednym z pracowników, którego wezwał do siebie. Słyszała nawet odgłosy wyjątkowo głośnej rozmowy, dochodzące do sekretariatu z gabinetu, co się dotąd jeszcze nigdy nie zdarzyło. Zresztą Daczkówna chwaliła tego musztrowanego robotnika. Mówiła, że to dobry fachowiec, świetny kolega, z gestem i w ogóle.

Przypuszczam, że z nim rozmawiałaś?

— Oczywiście. Nazywa się Zenon Wilczek. Bezczelny i arogancki typ. Ma w sobie coś drapieżnego, zaczepnego. Wyjaśnił, że prezes przyłapał go na piciu w pracy i zagroził wyrzuceniem, ale że się zaraz pogodzili, bo Karkowiak cenił go jako dobrego specjalistę w swoim fachu. Najpierw robił mu ostre wymówki, ale potem się dogadali. Mówił, że zdziwiło go wówczas nerwowe zachowanie prezesa i zasugerował, że być może pokłócił się w domu z żoną. Zrobił na mnie antypatyczne wrażenie. To bumelant, nie liczący się z zarobkami. Przyznał się nawet do częstego opuszczania pracy bez usprawiedliwienia.

— Myślę, że dla wszelkiej pewności i ostrożności trzeba tego Wilczka wziąć pod obserwację. No, ale nic nie mówisz, co z tymi kobietami w życiu Karkowiaka: Danutą i Haliną?

— Zupełne fiasko. Nasz denat to zakochany żonkoś, obdarzony ponoć wyjątkowo urodziwą żoną. Nigdy nic nawiązał nawet przelotnego flirtu na terenie pracy. Jemiela serdecznie się uśmieł z takiego podejrzenia. Imiona Danuta i Halina leż nic nikomu nie mówiły. Personalna, tyleż wylewna co i zażywna jejmość, na pewno by coś na ten temat wiedziała. Nawet sprawdzała w kartotece pracowników—. Jakaś Danuta odeszła dwa lata temu na emeryturę, a jedyna Halina, zatrudniona na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat w spółdzielni, pracowała jako rencistka przez pół roku na stanowisku pakowaczki.

W takim razie teren len wydaje się zupełnie czysty pod tym względem.

— Jak dotąd tak, ale nigdy nic należy ustawać w poszukiwaniach.

Starszy sierżant Chwałek zajrzał do pokoju, w którym urzędował porucznik Warowski

— Zgłosiła się Karkowiakowa — powiedział.

Weszła równym, płynnym krokiem, w czarnym kostiumie, oblepiającym wysmukłą sylwetkę, nieprawdopodobnie cienka w pasie, z odkrytą, jasną głową, bladą twarzą powleczoneą smutkiem, który dodawał jej wdzięku. Miała w sobie jakąś tragiczną, żalobną godność, która mimo woli budziła w otoczeniu uczucie szacunku. Porucznik zerwał się z miejsca i podsunął jej krzesło.

— Przepraszam, że panią niepokoję w tak przykrych dla pani chwilach, ale sędzę, że pani w nie mniejszym niż nam stopniu zależy na wykryciu sprawcy zbrodni.

— Tak, zależy mi bardzo — powiedziała, kładąc czarną torbę na brzegu biurka. — Zależy mi więcej niż na czymkolwiek w świecie.

Głos miała spokojny, ciepły, bez melodramatycznych akcentów czy hysterii.

„No, no — pomyślał porucznik — kto by się spodziewał, że Karkowiak miał tak szalową żonę. Tym bardziej zagadkowe są te dwa imiona kobiece, które wymienił przed śmiercią”.

— Proszę pani — zaczął — czy może pani wyjaśnić, w jakim celu mąż pani wyszedł wieczorem z domu i dlaczego znalazł się w okolicy Lasu Kabackiego?

— Tak. mogę. myślę też, że to, co powiem, będzie miało duże znaczenie, że być może ułatwi prowadzenie śledztwa. Była jedna sprawa w życiu mego męża, którą ukrywał przed otoczeniem. Teraz już mogę mówić na ten temat, skoro on nic żyje. Stefan, to jest mój mąż, miał córkę z pierwszego małżeństwa, bardzo nieszczęśliwą na skutek pewnych odziedziczonych złych skłonności. Uciekała wiecznie z 'domu, włóczyła się po całej Polsce z ludźmi z marginesu. Sprawiała mu wiele kłopotu, właściwie była jego stałym zmartwieniem. Podobno przebywała w domu poprawczym i staczała się coraz niżej. Mąż jej pomagał finansowo, chciał ją ratować, leczyć, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Wciąż wracała do dawnych nałogów i złego prowadzenia się. Ostatnio od paru lat nic dawała znaku życia. Wiem, że Stefan bardzo nad tym bolał i bez przerwy o niej myślał. Próbowalam niejednokrotnie mu to perswadować, gdyż bałam się, żeby nie popadł w depresję, tym bardziej, że ja już nie mogłam dać mu dziecka...

Zamilkła, a w jej jasnych, kryształowych oczach pojawiło się wzruszenie. Wyglądała z tym prześlicznie.

— Tego dnia — kontynuowała po chwili — mąż wrócił bardzo późno, nie uprzedzając mnie o tym, a przecież były to jego imieniny, dzień, który zawsze świętowaliśmy wspólnie. Powiedział, że zatelefonowała do niego córka, mówiła mu, że znajduje się w jakimś bliżej nie określonym niebezpieczeństwie, że błaga go, aby o dwudziestej drugiej podjechał na szosę koło Lasu Kabackiego i zawiózł jej dwadzieścia tysięcy.

— I oczywiście mąż tam pojechał. Czemu mu pani na to pozwoliła?

— Nie przestanę sobie tego do końca życia wyrzucać — drobna, wąska ręka Karkowiakowej, oparta na torebce, drgnęła spazmatycznie. Powinnam była go zatrzymać albo pojechać z nim razem, ale czyż mogłam przypuszczać, że to się tak tragicznie skończy? I czy w ogóle miałam prawo mu tego zabraniać? Chodziło podobno o los jego córki, a ona przecież mogła się w coś straszno uwikłać, jeżeli prowadziła takie życie.

— Jak ma na imię córka męża?

—Danuta.

Warowski odetchnął głęboko

Wira. Danuta... Pozostaje do wyjaśnienia Halina.

— Czy pośród krewnych lub znajomych państwa jest kobieta o imieniu Halina?

— Halina? Nie, na pewno nie. Zresztą nie utrzymywaliśmy ożywionych stosunków towarzyskich, żyliśmy tylko dla siebie.

— Czy pan Karkowiak był pani pierwszym mężem?

— Nie — głos Wiry nabrał jakichś matowych, przygłuszonych tonów. — Wyszłam za niego trzy lata temu. Moim pierwszym mężem był reżyser Olgierd Ledzica.

„Bagatela — pomyślał Warowski. — To na pewno ten Ledzica, którego film kandyduje do Oskara. Ale dlaczego ta wysublimowana, zjawiskowa piękność zamieniła tak sławnego człowieka na podtatusiałego prezesa spółdzielni? Zaiste, niezbadanymi ścieżkami chodzą losy ludzkie”.

— Czy widziała pani kiedykolwiek Danutę Karkowiakównę?

— Nie, nigdy. Ona od lal nic pokazywała się w domu.

— A to zdjęcie nic pani nie mówi? — porucznik sięgnął do teczki z aktami sprawy Karkowiaka i wyjął z niej fotografię formatu pocztówkowego, na której widniała młoda dziewczyna w dżinsach i swetrze, stojąca na pniu drzewa.

Spojrzała na fotografię i przez chwilę milczała.

—Nie, nie znam tej osoby — powiedziała. — Czy to właśnie jest Danuta?

— Tego nie wiemy. To zdjęcie znaleźliśmy ukryte w oprawie jednej z książek, leżących na biurku pani męża w domu państwa w czasie przeszukania, nazajutrz po śmierci męża. Niestety, nic mogliśmy wówczas z panią rozmawiać ze względu na zły stan pani zdrowia. Na razie dziękuję pani bardzo za niezwykle cenne informacje. Zechce pani tylko podpisać protokół zeznania. Być może jeszcze będziemy musieli prosić panią do nas.

— Trzeba się natychmiast zabrać do tej Karkowiakówny — powiedział do siebie porucznik po wyjściu prezesowej — i wytrzasnąć ją choćby spod ziemi. Kazik! — zwrócił się do Chwałka, który właśnie zajrzał do pokoju — mam dla ciebie ekstrapilną robotę. Musisz znaleźć jakąś Danutę Karkowiak, córkę naszego denata. Nieboszczyk tak skrzętnie ukrywał jej istnienie, że nikt spośród pracowników spółdzielni o niej nic wiedział. Jest podejrzenie, że brała czynny udział w zamachu na swojego ojca, a w każdym razie wciągnęła go w pułapkę. Rysopis nic znany, ale może pomocne ci będzie to zdjęcie, które znaleźliśmy schowane przed żoną w biurku Karkowiaka. Szukać należy w kręgach „marginesu”, sprawdzić wszystkie meliny, hotele, szpitale, rejestry. Zresztą rób, co chcesz. Termin na wczoraj!

— Widzę, że masz jakieś ciekawe nowiny — powiedział kapitan Broński, wchodząc do pokoju i sadowiając się na krześle, — Ale, ale! Czy ta żalobna piękność o złotych włosach to właśnie pani Elwira Karkowiakowa? Właściwie niepotrzebnie pytam, czuję perfumy, i to niezłe — to mówiąc wciągnął nosem powietrze, jakby istotnie chciał złowić prawie nieuchwytny już zapach, który pozostawiła za sobą Wira. — W każdym razie należy powinszować naszemu denatowi dobrego gustu. Widziałem, jak wsiadała do samochodu. Wdzięk, szyk i uroda w jednej osobie.

— Odniosłem wrażenie, że naprawdę go kochała, i że śmierć jego jest dla niej ciężkim przeżyciem. Wiesz, że przedtem była żoną słynnego reżysera Ledzicy?

— Czy wniosła coś nowego do sprawy? Porucznik zwięźle zreferował kapitanowi treść zeznania Karkowiakowej.

— Jak z tego widać — podsumował Broński — morderstwo może mieć całkiem prozaiczne podłoże i nie wiązać się ze sprawami zawodowymi Karkowiaka. Po prostu zbrodnia na ile rabunkowym. Tylko dlatego z taką bezwzględnością go zamordowano, skoro dobrowolnie chciał wręczyć żądane pieniądze i w jakim celu w tym strasznym akcie uczestniczyła jego rodzona córka? Przecież żywy, dobrze zarabiający ojciec był dla niej wart więcej od nieboszczyka, tym bardziej że — jak widać — ani jedna, ani druga osierocona przez Karkowiaka pani nie może liczyć na spadek po nim. Wiesz, że to wszystko jednak me trzyma się kupy. To musi być jednak jakaś rozgrywka. I ciągle brakuje nam tej Haliny. Dokładna analiza zeznań świadków ostatnich chwil życia Karkowiaka wykazała, że najczęściej razy wymówił imię Hala. Obawiam się, że dopóki jej nic odnajdziemy, nie wpadniemy na właściwy trop. Czy wezwałeś tego Wilczka ze spółdzielni?

— Oczywiście, ale dotychczas się nie zgłosił. Ten typ mi się wybitnie nie podoba, chociaż ma zupełnie czystą kartotekę. Właściwie mało o nim wiemy, nic poza tym, że pracował w Afryce i ponoć zarobił tam dużo pieniędzy, co powoduje, że niejednokrotnie szasta nimi na prawo i lewo, zjednując sobie tym popularność wśród kolegów.

— Gdzie on mieszka?

— W eleganckiej willi na Filtrowej. Gospodyni — dama. pamiętająca jeszcze czasy sprzed pierwszej wojny światowej, która utrzymuje się z wynajmu luksusowych pokoi lepszym gościom, wyraża się o nim jak najlepiej, chociaż twierdzi, że na ogół rzadko przebywa w domu. Jedno jest pewne: Wilczek kłamie i robi to wprawnie, bez cienia wahania. Jego kłótnia z prezesem w dniu

— drugiego września musiała mieć zupełnie inne tło, niż karcenie za nadużywanie alkoholu w czasie pracy. W każdym razie będzie musiał udowodnić, co robił w czasie, kiedy dokonywano zabójstwa.

— Czy wezwałeś jeszcze kogoś? Oczywiście. Dozorcę nocnego, Staszaka, który w czasie mojego pobytu w spółdzielni przebywał na zwolnieniu lekarskim.

— Doskonale. Zawsze należy zaczynać od dozorców i sprzątaczek. Ludzie pracujący na tych stanowiskach więcej wiedzą od wszystkich dyrektorów i kierowników razem wziętych.

W dwa dni później na biurku Warowskiego zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł siedzący obok kapitan Broński. Dzwonił z drugiego końca gmachu sierżant Chwatek, a jego głos brzmiał nutą niekłamanego podniecenia.

— Panie kapitanie, przyszedł teleks. znaleźliśmy ją!

— Kogo znaleźliście? Nic nie rozumiem?

— Danutę Karkowiakównę. a właściwie informację o niej.

— To pędźcie tu na jednej nodze.

Za parę minut sierżant Chwałek, znany ze swej gorliwości w wypełnianiu poleceń przełożonych, wpadł zdyszany do pokoju, trzymając w ręku długi zwój papieru.

— To z komendy wojewódzkiej we Wrocławiu — zaczął od progu. — Otóż dziewiętnaście miesięcy temu w okolicach Wrocławia, w lesie, znaleziono trupa młodej dziewczyny bez żadnych dokumentów. Mord na tle seksualnym. Śledztwo przez dłuższy czas nic dawało rezultatu. Naszym chłopcom we Wrocławiu od razu rzuciło się w oczy podobieństwo denatki do dziewczyny z fotografii, znalezionej u Karkowiaka. Nawet miała taki sam sweter, co tamta dziewczyna. Sprawa wyglądała tak, że w trzy miesiące potem jakiś chłopak, który zabił swego kolegę w bójce, w momencie depresji przyznał się i do tamtej zbrodni. Twierdził, że nazywała się Danuta i że poznał ją w jednej z melin. Inwigilacja środowiska wykazała, że istotnie w tamtejszych kręgach marginesu kręciła się ostatnio dziewczyna o tym imieniu. Więcej nic o niej nic wiadano, nigdzie nie ujawniała swego nazwiska. Sprawa ta otrzymała kryptonim „Danuta”. Według nich to jest Karkowiakówna.

— Jeżeli więc ofiara mordu pod Wrocławiem i córka Karkowiaka to jedna i ta sama osoba, wynika z tego w sposób oczywisty, że Karkowiak został zwabiony do Lasu Kubackiego przez kobietę, która podszyła się pod jego córkę, a co za tym idzie, że sprawca zbrodni doskonale orientował się w jego stosunkach rodzinnych.

— Taka hipoteza ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa — podchwycił Warowski. — Przede wszystkim zbieżność imion, podobieństwo osoby z fotografii do denatki spod Wrocławia, brak jakichkolwiek wiadomości od Karkowiakówny przez dłuższy czas...

— Tylko trochę to dziwne, że ojciec nie poznał głosu córki przez telefon — zastanowił się Chwałek.

— Wcale nie dziwne — odparował porucznik. — Karkowiak nie rozmawiał z nią przez parę lat. a głos, który usłyszał, musiał prawdopodobnie leż należeć do młodej dziewczyny. Poza tym mogła mówić szeptem czy na przydcchu, a jeszcze dodajmy do tego pewien wstrząs emocjonalny, jaki musiał wywołać w nim taki telefon.

— Trudno jednak będzie ustalić, kto spośród znajomych Karkowiaka wiedział o istnieniu jego córki — zastanawiał się Broński.

— Tym trudniej, że Karkowiakówna mogła niejednemu ze swoich chłopaków opowiedzieć o dobrze sytuowanym ojcu. Kto wie, czy już wcześniej nie przepijała w jakiejś kompanii wyciągniętych od niego pieniędzy — dodał Warowski.

— Tylko czy możliwe jest, aby prawie w dwa lata po jej śmierci któryś z jej koleżków przypomniał sobie o jej ojcu i zabił go, aby zrabować dwadzieścia tysięcy złotych? — Broński znów miał wątpliwości.

— W sumie jednak nic wiemy, jaka scena rozegrała się w Lesie Kabackim, czy Karkowiak nie rozpoznał swojego mordercy i czy tej właśnie informacji nie usiłował przekazać komuś przed śmiercią — wtrącił Chwałek.

— O ile by to miała być ta tajemnicza Hala... — zaczął porucznik, ale w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanął dyżurny funkcjonariusz.

— Obywatelu poruczniku, przyszedł wezwany Józef Staszak.

Staszak wszedł pewnym, choć nieco powolnym krokiem, trzymając w ręku czapkę. Mógł mieć nie więcej niż pięćdziesiąt parę lat, ale wyglądał na człowieka, z którym życie nie obchodziło się łaskawie, nie szcędząc mu trudów i zmartwień. Zmarszczki na twarzy, chudość postaci świadczyły o złym stanie zdrowia, a w każdym razie o przebytej niedawno chorobie.



— Pan pracuje na stanowisku dozorca nocnego, panie Staszak? — zapytał Warowski po dopełnieniu wstępnych formalności, związanych z przesłuchaniem. — Jak dawno?

— Tak coś około pięciu lat. odkąd zmoгло mnie to choróbsko — pylica płuc. Przeszedłem na rentę inwalidzką, ale trzeba było coś dorobić. Żona też słabuje.

— Czy dobrze pan znał zmarłego prezesa Karkowiaka?

— Jakżeby nie! — obruszył się. — Często żeśmy ze sobą rozmawiali. Prezes był zawsze ciekaw, co się na zakładzie dzieje, a i o moje zdrowie pytał, nie powiem. Ludzki gość. Jakem się dowiedział, że go stuknęli, to mnie tak zatrzęsło, że żona chciała wołać pogotowie.

— Czy pana zdaniem prezes miał jakichś wrogów na terenie spółdzielni?

— E! Czyja tam wiem? Chyba nie, Staszak zdawał się zamykać jak ślimak w skorupie. Opuścił głowę i wbił wzrok w ziemię. — Człowiek ma sam dość własnych kłopotów, to się i do takich spraw nic wtrąca.

— A szkoda. Myślałem, że właśnie pan nam pomoże. No, ale o czym pan ostatnio rozmawiał z prezesem? Sam pan mówił, że często się pana o różne rzeczy pytał.

— No, niech tam będzie zdecydował się Staszak. Zameldowałem prezesowi, że kilku pracowników często pracuje w nocy, bo miałem powiedziane, żeby nikogo bez specjalnej przepustki nic wpuszczać. Zanieczyszczali pomieszczenia, palili papierosy. Materiał drogi pod moją opieką, a na dworze stoją samochody. Już raz zginął akumulator. Nic chciałem za nich odpowiadać, bo niechby się ta człowiek zdrzemnął, a nieszczęście gotowe.

— Jak się nazywają się pracownicy?

— Wilczek, Kazjer i Podkowa.

— I nie wie pan, co oni tam robili? Jakies tam ich roboty. A co mi do tego.

Wilczek to mi nawet pieniądze do łapy wciskał, żeby mi prezesowi nie mówił, bo powiadał, że chcą mu zrobić niespodziankę i plan przed terminem wykonać, że to niby jakies między spółdzielniane współzawodnictwo pracy, czy coś takiego. Z Wilczkiem to lepiej nic zaczynać, bo to nic dobrego. Tylko żeby mu pan porucznik nie powtórzył, że ja o tym powiedziałem.

— Może pan być zupełnie spokojny, panie Staszak. A jak prezes zareagował na tę informację.'

— Po prezesie to nic nie można było poznać, ale widać go to poruszyło, bo zaraz polem przyjechał któregoś wieczora.

— I co wtedy było?

— Prezes wszedł na halę numer 5, bo oni tam pracowali, i zaczął na nich krzyżeć, że niby to bez pozwolenia przebywają na terenie zakładu, że im tego nic wolno i lam inne rzeczy. Zresztą nic podsłuchiwałem.

— Kiedy to było?

— Gdzieś na początku sierpnia.

— Czy wie pan, że Kazjer również nie żyje?

— Słyszałem. Porządny był nawet chłop, tylko mruk Straszny, aż mi dziwno było. że z tym Wilczkiem się zbratał.

—A co właściwie pan ma przeciw Wilczkowi?

— Niby nic takiego, ale to wielki ladaco. Czasem jak spojrzy, to aż człowieka ciarki przechodzą.

—No. a Podkowa?

—Podkowa to stuknięty, ma wariackie papiery. Trzymają go. bo spokojny, nikomu krzywdy nie robi, a silny jak tur. Jak za pracę się chwyci, to aż iskry lecą. Tylko że porozumieć się z nim trudno.

— Dziękuję panu, panie Staszak, może pan iść do domu.

## IX

---

— Proszę.

— Jurek, uważaj, mam Halę!

— Co, śniła ci się?

— Nie żartuj, mówię poważnie. Odkryłem, kim, a właściwie czym jest nasza nieodgadniona Hala.

— Nie operuj zagadkami, tylko mów — kapitan zupełnie otrząsnął się z resztek snu.

— Wyobraź sobie, że to nie jest kobieta, czyli domniemana rywalka żony Karkowiaka, ale miejsce pracy robotników w spółdzielni. Tak, to po prostu hala produkcyjna, i to oznaczona numerem piątym. Jestem najzupełniej pewny, że o takiej właśnie hali mówił Karkowiak przed śmiercią. Kończę już, żeby nie oberwać przy najbliższej okazji czymś ciężkim od Bożeny. Do jutra!

Domek stojący na uboczu, wśród gęstwiny drzew owocowych, z daleka wyglądał zupełnie przyzwoicie, ale z bliska zarówno budynek, jak i ogród sprawiały wrażenie, jakby od dawna brakowało im ręki gospodarza, gdyż wszędzie bujnie zarastała trawa, pośród opadłych z drzew liści pienili się chwasty, a czerwień cegieł prześwitywała poprzez luszczący się na ścianach tynk. Porucznik zatrzymał samochód przed uchyloną żelazną furtką i wszedł do ogrodu. Natychmiast zauważył, że pod jednym z drzew stoi wysoka, zgarbiona kobieta z koszykiem prawie wypełnionym jesiennymi jabłkami. Na widok Warowskiego zamarła w bezruchu, jej wyciągnięta do zrywania owoców ręka opadła w dół, a trzymane jabłko potoczyło się na ziemię.

Porucznik pospiesznie schylił się, aby je podnieść.

— Czy zastałem w domu pana Stanisława Podkowę? — zapytał.

Kobieta miała potargane włosy i zaczerwienione oczy, nie wiadomo: od płaczu czy od nadużyciu alkoholu.

— Nie ma go — powiedziała. — Nie ma i nie będzie.

Poczuł bijący od niej odór wódki, ciężki, charakterystyczny dla nałogowców.

— Pan do niego? — lekko zachwiała się na nogach. — Zawsze mówiłam, że się źle skończy ta jego praca. Odkąd zaczął przychodzić późno do domu, zaraz wróciły mu te napady. Najpierw złamał krzesło i potłukł moje lustro. Miałam je jeszcze po matce. No co, może mi pan nie wierzy, myśli pan, że go ukrywam?. Niech pan wejdzie do domu i sprawdzi!

Ruszyła naprzód zygzakowatym krokiem i szeroko otworzyła drzwi wejściowe. Od progu buchnęła woń spleśniałych kartofli i starych kiszonych ogórków. W pokoju panował nieopisany bałagan, jakby przeszedł po nim huragan. Meble były poprzewracane, garnki walały się wraz ze spleśniałym jedzeniem po podłodze, przy czym każdemu ze sprzętów brakowało zazwyczaj najważniejszej części. Nawet portret z cukierkowato uśmiechniętą parą nowożeńców wisiał przekrzywiony na ścianie z potłuczoną szybą.

— To on wszystko zrobił — powiedziała zataczając wokoło ręką. — Nie sprzątam, bo i po co.

Przysiadła na zydlu o trzech nogach i zwiesiła głowę z wyrazem zupełnej beznadziejności.

Porucznik stał zmieszany widokiem tego, co zastał. Zastanawiał się, czy natychmiast nie odejść, ale kobieta nagle spojrzała na niego i krzyknęła ze złością:

— Piłam! Pan myśli: stara pijaczka, schlała się i tyle. Przyznaję, że piję, ale chyba mi wolno, no nie? Za swoje, nie za cudze! Sprzedałam jabłka, gruszki i mam za co kupić, choćby i bimber.

Nagle zerwała się na równe nogi i uderzyła pięścią w chudą pierś, aż zadudniło.

— Jestem sama jak ten pies, a on już nie wróci. Zabrali go do Tworek i powiedzieli, że teraz to już tak mu się w głowie pokręciło, że nic z tego nie będzie...

Zaczęła gwałtownie płakać. Łzy jak groch spływały po jej pobrużdżonej twarzy. Choć mogła mieć najwyżej czterdzieści kilka lat, twarde życie, a przede wszystkim alkohol, czyniły ją dwadzieścia lat starszą.

— Niech pani nie płacze — powiedział Warowski. — Czy ma pani jakieś środki do życia? Mąż pani jest inwalidą. Pani też powinna otrzymać przynajmniej tymczasową rentę.

Pokręciła przecząco głową.

— Nic nie mam. Ja tam nie wiem, co robić. Zresztą wszystko mi jedno, żadnej łaski nie potrzebuję.

Po tym wybuchu zdawała się uspokajać. Spojrzenie, którym obrzuciła porucznika, było o wiele przytomniejsze. Przygładziła ręką włosy i poszukała chustki do nosa w fartuchu, jakby teraz dopiero uświadomiła sobie, że jej wygląd musi' budzić odrazę.

Porucznik poprowadził ją do jedyne go krzesła, które wyglądało względnie stabilnie.

— Niech pani siada, pani Podkowina. Nikt nie będzie pani robił łaski, dostanie pani tylko to, co się pani słusznie należy. Postaram się aby nastąpiło to jak najszybciej.

Machnęła z rezygnacją ręką. ? Niech tam będzie, co ma być. Dlaczego pan po niego przyszedł?

— Pani się myli. Nie przyszedłem zabrać pani męża, chciałem tylko z nim porozmawiać.

— Ano, to nic z tego nie będzie. Wie pan, on przez kilka lat był spokojny jak baranek, tylko prawie nie mówił. Ale chodził do roboty, wracał o porze, jadł, co mu dałam, nie pił, przynosił pieniądze. Nie za dużo, ale tak, że starczyło. Jeszcze jego matce posyłałam na wieś, bo u córki na dożywociu siedzi, ale córka skąpa, stara bez butów chodzi. Ale od jakiegoś czasu zaczęło mu wracać. Co wziął do ręki to rzucił o ziemię. Prosiłam, próbowałam tłumaczyć — to kładł na głowę czapkę i wychodził. Tylko mnie nigdy nie uderzył. Bóg mi świadkiem, że nigdy. Zaczęłam pić, tak, jak kiedyś w młodości, jak go zaczęło to złe nachodzić. Z żalu, z samotności, nie z czego innego...

Ponownie roztkliwiła się nad swoim losem i zaczęła płakać, ale tym razem cicho, niemal bezgłośnie.

— Wtedy i pieniędzy zaczęło brakować. Zamilkła, ale widocznie Warowski obudził w

niej zaufanie, a ponadto dręczyła ją potrzeba wylania przed kimś ogromu swego nieszczęścia, a nawet mówienia do jakiejś żywej, życziwej osoby.

— Kiedyś przyszedł z nim taki jeden jakiś, blondyn, wysoki, wesoły. Przyniósł dwie żytniówki. Siedzieli do późna, pili i coś tam po cichu gadali. Od tej nory stary zaczął wracać po nocach do domu. I naszło go na dobre. Złamał krzesło i stłukł lustro i przestał w ogóle mówić, jakby mu język ucięło. Tylko raz wrócił wcześniej i wyglądał tak jakoś strasznie, że mnie ciarki przeszły i powiedział: „Prezesa zabili”. Te dwa słowa i nic więcej. I potem dostał tego szału. Połamał wszystko, potłukł talerze, karafki, wazy. Wybiegłam z domu z krzykiem, bo myślałam, że się i do mnie zabierze, chociaż nigdy tego nie robił— Sąsiedzi zawołali pogotowie. Zabrali go i wpakowali w kaftan. Jak tam poszłam, powiedzieli, że tym razem to beznadziejna sprawa, że pewno głupim zostanie do śmierci. I tak siedzę sama, zbieram gruszki, jabłka i piję.

— Tak nie można, pani Podkowina. To się zmieni — przyrzekam pani. Niech pani odstawi wódkę, za parę dni otrzyma pani pieniądze.

Pokiwała znów głową, oparła się łokciem o koślawy stół, a właściwie jego trzecią część, gdyż cały blat zwisał złamany i nagle zupełnie nieoczekiwanie zaczęła pochrapywać— Porucznik wyszedł na palcach na dwór, przymykając chwiejące się na zawiasach drzwi.

Przeszukiwania dokonane przez ekipę techniczno—dochodzeniową w halach produkcyjnych spółdzielni „Szlachetny Szlif”, a w szczególności w hali numer pięć, nie dały dotąd żadnego rezultatu. Prawdę mówiąc właśnie hala numer pięć była czysta jak łąka. stanowiska pracy w znakomitym porządku, żadnych braków czy usterek mogących budzić zastrzeżenia. Oczekiwano wprawdzie jeszcze na wynik specjalistycznych ekspertyz, ale na razie sprawa utknęła w martwym punkcie, motywy ponurej zbrodni dokonanej na prezesie Karkowiaku pozostawały nie wykryte, a morderca czy mordercy pozostawali na wolności. Wszyscy pracownicy na ogół przychodzili do pracy, tylko Zenon Wilczek od dwóch tygodni przedstawiał zwolnienia lekarskie, przesyłane pocztą. Nic zgłosił się też do komendy mimo dwukrotnych wezwań.

— Ciekawe, co len typ kombinuje — zastanawiał się sierżant Chwałek. — Przecież w ten sposób staje się podejrzanym numer jeden.

— Cały sęk w tym, że w tej chwili nie dysponujemy żadnym konkretnym dowodem przeciw niemu, a poza tym obawiam się, że montuje dla siebie niepodważalne alibi, którym chce nas zaskoczyć — porucznik Warowski podniósł głowę znad akt, które po raz setny chyba wertował od deski do deski. Ostatnio po fiasku jego koncepcji z halą numer pięć był w bardzo kiepskim humorze, a ponadto cierpiał przez dwie noce na ból zęba, którego wyrwanie odkładał od paru lat ze względu na osobisty negatywny stosunek do tego rodzaju zabiegów. — Najwyższy czas, żeby go doprowadzić przymusowo. Kazik, zajmij się tym — zwrócił się do Chwałka.

— To nie takie proste. W miejscu zameldowania na Filtrowej od dawna go nie ma. Sprawdzałem. Gospodyni powiedziała, że nie widziała go prawie od miesiąca. Nawet narzekała, że nie zapłaci! komornego.

— Przecież nic zapadł się pod ziemię. Trzeba prześledzić wszystkie jego kontakty, i to bezzwłocznie, a potem wziąć go pod stałą obserwację. Dziwny jest ów1 zbieg okoliczności, że spośród trzech osób, które nakrył przy nocnej pracy w spółdzielni dozorca Staszak, on jeden jest cały, chociaż zasłania się świadectwem lekarskim. Wprawdzie choroba Podkowy jest autentyczna, ale niewykluczone, że Wilczek posługiwał się nim właśnie ze względu na jego niedorozwój umysłowy. Proszę cię też, sprawdź, czy zostały podjęte w trybie pilnym kroki celem zapewnienia godziwego bytu Podkowninie. Jak widzę, rada zakładowa spółdzielni „Szlachetny Szlif” nie przejawia żadnej aktywności w' sprawach, które należą do jej kompetencji. A jak to właściwie było z Kazjerem? To krótkie stwierdzenie, że zginął w wypadku samochodowym, nic może nas chyba zadowolić. Czy wiesz coś bliżej na ten temat?

— To był także autentyczny wypadek. Rozbił się maluchem i skończył na miejscu.

— W tej sprawie wszystko jest cholernie autentyczne — zirytował się Warowski. wstając z miejsca. — Dostarcz mi natychmiast wyniki sekcji zwłok Kazjera, protokół milicyjny w sprawie wypadku, ekspertyzę PZU dotyczącą rozbicia wozu itd. I pamiętaj, że te materiały chcę mieć jeszcze dzisiaj.

Chwałek zakręcił się służbiście i wypadł z pokoju, ale zaledwie znalazł się na korytarzu, natychmiast jego krótko przyszytych głowa ukazała się ponownie w drzwiach.

— Wilczek przyszedł — powiedział ścisząc głos.

„Ależ chłop ma tupet” — pomyślał porucznik przyglądając się nowo przybyłemu, który ani jednym drgnięciem twarzy, rozciągniętej w beztroskim uśmiechu, żadnym gestem nie zdradza! oznak najmniejszego choćby zdenerwowania, towarzyszącego zazwyczaj tego rodzaju wizytom w gmachu komendy MO. Ukłonił się od progu i ruszył swobodnym i pewnym krokiem w kierunku biurka porucznika, po czym usiadł na krześle nie czekając na zaproszenie. Miał na sobie ciemnoszare ubranie ani zbyt eleganckie, ani tandetne, rozpięta koszula bez krawata ukazywała silny kark i napięte żyły na umięśnionej szyi.

— Jak widzę, panie Wilczek, cieszy się pan już dobrym zdrowiem. Jakoś przez długi czas nie mieliśmy przyjemności pana widzieć — rozpoczął Warowski.

— Angina mnie położyła, panie poruczniku, wirusowa, nie ma na nią mocnych — odpowiedział błyskając po swojemu zębami.

— A szczególnie łatwo się zaziębić pracując po nocy, prawda? Nic pan nic powiedział, że przebywał pan przez dłuższy czas w godzinach nocnych na terenie spółdzielni i to bez zezwolenia zarządu. Co pan tam robi!, panie Wilczek?

— Jak to co? Plan podganiałem. Chodziło o współzawodnictwo między spółdzielniami, tak zwaną „dobrą robotę” — „Doro”, jak to nazywają w skrócie. Chcieliśmy prezesowi zrobić niespodziankę. I za to tyle nieprzyjemności.

— A właśnie. Pańscy przyjaciele, z którymi pan len plan podganiał, jakoś mniej mieli szczęścia od pana. Jeden nieuleczalnie zachorował, a drugi nie żyje.

Podkowa zawsze w piętękę gonił, już nieraz był u czubków, a Kazjer miał paskudny wypadek. Co robić — nieszczęścia chodzą po ludziach.

— Istotnie, nadzwyczajny zbieg okoliczności. A jeszcze do tego trzeba było usunąć z drogi niewygodnego prezesa, który za dużo o panu wiedział. Czy nic tak, panie Wilczek?

Twarz Wilczka pozostała niewzruszona, tylko oczy zalśniły złym, ostrym blaskiem.

— Pan chyba żartuje, panie poruczniku? Chyba mnie pan nie podejrzewa, że sprzątnąłem starego. Trochę pan przeholował.

— Niestety, panie Wilczek, nie znajduje się pan w najlepszej sytuacji. Nic mieszka pan w domu, gdzie się pan ukrywa i ponad wszelką wątpliwość w dniu śmierci prezesa wynikła między panem a nim poważna kłótnia. Wyjaśnienia pana w tej sprawie nie uzasadniają tak ostrego starcia między pracownikiem a pracodawcą.

— Przecież mówiłem, o co mu chodziło. Nie zabija się człowieka z takiego powodu.

— Pozwoli pan, że osobno zajmiemy się motywami, które kierowały pana postępowaniem. Panie Wilczek, co pan robił w dniu drugiego września pomiędzy godziną siedemnastą a dwudziestą drugą wieczorem?

— Wróciłem do Warszawy, byłem w barze mlecznym, w pralni, spacerowałem nad Wisłą. Co pan jeszcze chce wiedzieć?

— Czy jest ktoś, kto może potwierdzić pana słowa? Dotyczy to przede wszystkim czasu między dwudziestą a dwudziestą drugą.

Wilczek uśmiechnął się tak szeroko, jakby jego wargi ulepione były z gumy.

— Czy koniecznie muszę powiedzieć? Widzi pan, tu chodzi o kobietę. Nie chcę jej kompromitować...

— Proszę mówić.

Między dwudziestą a dwudziestą drugą przebywałem u pani Barbary Matyckiej, głównej księgowej naszej spółdzielni, w jej mieszkaniu w Warszawie przy ulicy Storczykowej 216 mieszkania pięć. Zresztą spędziłem tam całą noc.

## X

---

Barbara Matycka zjawiała się w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej niezwykle punktualnie. Twarz miała spokojną, opanowaną, bez cienia zmieszania. Doskonale ubrana w ciemnozieloną, angorową garsonkę zagranicznego pochodzenia, jak zwykle modnie uczesana, z przyfarbowanymi na czarno, zwiniętymi w drobne loki włosami, z dyskretnym makijażem stanowiła uosobienie dobrego tonu i smaku. Jak wy-

nikało z jej akt personalnych, była niezamężna, a zarobki jej były wysokie, stąd zapewne mogła sobie pozwolić na dość wysoki standard życia: spółdzielcze, własnościowe mieszkanie, dobre ubranie, coroczne wycieczki zagraniczne. W spółdzielni „Szlachetny Szlif” pracowała ponad osiem lat, zyskując renomę wykwalifikowanego i solidnego pracownika, prowadzącego bez zastrzeżeń interesy swojej instytucji. Przedtem co prawda często zmieniała pracę, ale umowy rozwiązywała zazwyczaj za porozumieniem stron. Minio wykwintnego ubioru i dobrze wypielegnowanej cery widać było, że nie jest już młoda. Cienka sieć zmarszczek rysowała się na jej skroniach, obejmując swym zasięgiem podbródek i szyję.

— Tak, przyjaźnię się z Zenonem Wilczkiem od około dwóch lat — powiedziała obojętnym, swobodnym tonem, bez cienia zażenowania, jakby utrzymywanie intymnych stosunków przez osobę w jej wieku, na tak poważnym stanowisku z szeregowym pracownikiem, prawdopodobnie młodszym o kilkanaście lat, było najzupełniej normalnym zjawiskiem.

— Czy państwo zamierzają się pobrać?

— Zenon proponował mi to wielokrotnie, ale ja nie widzę potrzeby legalizowania naszego związku. Zenon jest człowiekiem władczym, może apodyktycznym, ale posiada wiele dodatnich cech. Jest rzutki, energiczny, posiada zmysł organizacyjny, a to najwięcej cenię w mężczyźnie. Przy tym jest młodszy ode mnie. Nic chcę go krępować, jeżeli będzie miał zamiar odejść.

— Czy państwo wspólnie zamieszkują?

— Tego nie mogę stwierdzić. On raczej często u mnie przebywa. Jestem nazbyt przywiązana do samotności i samodzielności, abym w ogóle mogła z kimkolwiek wspólnie mieszkać.

— Czy zdarza się, że spędza u pani noce?

— Owszem.

— Teraz proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie. Czy Wilczek był u pani w dniu drugiego września bieżącego roku?

Matycka chwilę milczała, jakby usiłowała jasno i precyzyjnie sformułować swoją odpowiedź, a może zebrać myśli. Twarz jej pozostała nadal spokojna, prawie nieruchoma. Warowski musiał w duchu przyznać, że nieczęsto miał do czynienia z kobietami tego typu.

— Tak, dokładnie sobie przypominam, gdyż było to w dniu imienin prezesa Karkowiaka. Przyszedł do mnie około dziewiętnastej.

— A kiedy wyszedł?

— O piątej nad ranem.

Warowski machinalnie przesunął na biurku teczkę z aktami.

— To byłoby wszystko, dziękuję pani... aha jeszcze jedno: czy na terenie spółdzielni pracownicy wiedzą o związku, łączącym panią z Wilczkiem?

— Nie. Przypuszczam, że nikt się tego nie domyśla.

— A więc w świetle zeznań głównej księgowej cała wasza teoria, kreująca Wilczka na podejrzanego numer jeden, okazała się wydumana i pozbawiona jakichkolwiek podstaw. Chyba tego alibi nic uda ci się podważyć — zauważył trochę żartobliwie kapitan Broński.

— Matycka to w ogóle kobieta z żelaza. Tak wyćwiczonej w panowaniu nad słowem i gestem babki nic spotkałem dotąd w mojej pracy zawodowej. Nic zapominajmy jednak, że jednocześnie jest to chyba kobieta zakochana, a tym samym zaślepiona przez spóźnione, może ostatnie uczucie w jej życiu.

— Ileż ona ma lat?

— Czterdzieści dziewięć.

— A Wilczek?

— Trzydzieści cztery.

— Różnica dość zasadnicza, nie da się ukryć. Co zamierzasz dalej robić?

— Zebrać jak najwięcej informacji o tragicznie zmarłym Piotrze Kazjerze, a potem porozmawiać z jego żoną. Nie wiem, dlaczego, ale wydaje mi się, że jego śmierć nie była przypadkowa. Znadto wszystko zbiegło się w czasie. Być może opinia lekarza, który robił sekcję zwłok, była zbyt powierzchowna, jeżeli chodzi o ustalenie przyczyny śmierci.

— Człowieku! Chyba nie masz zamiaru robić ekshumacji doczesnych szczątków Kazjera?

— Niewykluczone. W tej chwili czekam na materiał dowodowy, który jeszcze dzisiaj ma mi dostarczyć Chwałek...

— Otóż i on — uśmiechnął się Broński na widok wchodzącego starszego sierżanta.

Sierżant Chwałek nie miał zbyt wesołej i zadowolonej z siebie miny. Położył plik papierów na biurku Warowskiego i stanął z boku, jakby się obawiał nadchodzącej nieuchronnie burzy z piorunami, grożącej ze strony porucznika. Warowski istotnie po paru chwilach zerwał się jak oparzony.

— Psiakrew! Jeszcze tego brakowało! Zwłoki Kazjera zostały skremowane w Poznaniu, zupełnie oficjalnie i za zgodą właściwych czynników! Zdmuchnięto mi dowód rzeczowy sprzed nosa. Mało, że jeden ze współników Wilczka zwariował, to drugi został zamieniony w garstkę popiołu w majestacie prawa!

— Uspokój się, Leszku — mitygował go Broński. — Zauważ, że Kazjer zginął jeszcze przed śmiercią Karkowiaka. Być może między jego zgonem a zabójstwem Karkowiaka nie ma żadnego związku przyczynowego.

Warowskiego nagle paskudnie zabołał ząb.

— Nie tłumacz mi tego jak małemu dziecku. A samochód, którym jechał? Co jest z samochodem? — zwrócił się gwałtownie do Chwałka. — Chyba wdowa dochodzi jakiegoś odszkodowania?

— Samochód został odstawiony do PZU celem dokonania ekspertyzy, ale wobec całkowitego niemal zniszczenia przeznaczono go do kasacji.

— Cholera! To i samochód zniknął z powierzchni ziemi! — ból zęba zaczął się wzmacniać i wświdrowywać gdzieś głąb czaszki. Natychmiast zarządził poszukiwania tego wraka, może jeszcze nic uległ kasacji, a jeśli cokolwiek z niego zostało, choćby tylko koło czy pasek klinowy — oddaj zaraz do ekspertyzy naszemu biegłemu. I jeszcze jedno! Bezzwłocznie wezwij do osobistego stawiennictwa wdowę po Piotrze Kazjerze. Wezwanie ma być doręczone do jej rąk w dniu dzisiejszym.



Kobieta, a właściwie dziewczyna, która siedziała naprzeciw Warowskiego, była całkowitym przeciwieństwem niedawno przesłuchiwanej Barbary Matyckiej. miała bowiem wygląd zagubionego i bardzo speszzonego dziecka, przebranego w eleganckie szmatki. Z dokumentów jej wynikało. Ze ma lat dwadzieścia, ale sprawiała wrażenie o wicie młodszej, choć z jej niebieskich oczu wyzierało dużo prawdziwego cierpienia, nawet goryczy. Początkowo na zadane pytania odpowiadała nerwowo i niepewnie, ale w miarę upływu czasu z jej bladej twarzy, otoczonej gęstwą jasnoblond włosów znikł wyraz napięcia, a zagościł spokój, ba. nawet pewność siebie. Nosiła żałobę, ubrana była w czarną sukienkę z angory, identyczną, jak Matyckiej. tylko różniącą się kolorem. ..Widocznie niedawno nadeszła gdzieś dostawa takich sukien" pomyślał Warowski. — „Kobiety zawsze potrafią wypatrzeć coś atrakcyjnego”.

Dziewczyna dużo paliła, rzucała nic dopalone papierosy do popielniczki, zostawiając na nich leciutką smużkę jasnoperłowej szminki. Wszystko, co mówiła, brzmiało absolutnie wiarygodnie i prawdziwie.

— A więc wybiera się pani w tych dniach do Paryża?

—Tak. choć nie będzie to podróż dla przyjemności. Odwożę urnę z prochami mojego męża, aby ją złożyć na cmentarzu *Pere Lachnise* na życzenie jego ojca, który jest rodowitym Francuzem i mieszka w Paryżu.

— Czy jedzie pani samolotem?

—Nie, samochodem, razem z adwokat Teresą Molnicką.

— Z adwokat Molnicką? — zainteresował się porucznik. —Czy pani jest z nią zaprzyjaźniona?

— Nie, mecenas Molnicka jest moim pełnomocnikiem ustanowionym w sprawie spadkowej. Zgodziła się ze mną pojechać, aby mi pomóc w kwestiach natury prawnej.

— Czy oczekuje pani spadku w Paryżu?

— Raczej odszkodowania w zamian za spadek. Pani mecenas zgodziła się czuwać nad moimi interesami.

— Pani Kazjer, jak długo pani znała swego zmarłego męża?

— O, dość długo. Około dwóch lat. Poznałam go w Szczecinie, gdzie po wyjściu z sierocińca pracowałam w fabryce kosmetyków „Orchidea”. Mieszkałam wtedy jako sublokatorka u pani Janiny Malczakowej, a Piotr był zatrudniony u „Jubitera”. Zaopiekował się mną i zabrał do Warszawy. Kupił za dewizy, które otrzymał od ojca. domek, w którym do dzisiaj mieszkam. Pobraliśmy się jednak dopiero dwa miesiące przed jego śmiercią.

—Czy mąż opowiadał coś pani o swojej pracy w spółdzielni „Szlachetny Szlif, o stosunkach w niej panujących, o kolegach?

— Nie, nigdy nie rozmawialiśmy na temat jego pracy zawodowej. Mąż był na ogół mało mówny. Uważał, że dostarczanie środków utrzymania jest obowiązkiem mężczyzny, a dbałość o dom — kobiety. Miał przestarzałe poglądy na temat roli kobiety w małżeństwie, może dlatego, że miał trudne dzieciństwo, gdyż jego matka rozeszła się z mężem. Czułam nawet żal do niego, że nie wtajemnicza mnie w swoje sprawy.

— Czy nic zna pani kolegi męża, Zenona Wilczka?

Zgniotła kolejnego papierosa w popielniczce i potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nigdy nie słyszałam tego nazwiska. Żyliśmy w odosobnieniu, Piotr nie był raczej towarzyski, a ja musiałam się do tego dostosować.

— Czy w ostatnich czasach, to jest zaraz po ślubie państwa, nie zauważyła pani jakiejś zmiany w jego zachowaniu? Czy w trybie życia?

Chwilę zastanawiała się, znów sięgnęła do pudełka z papierosami.

— Chyba tylko tę, że więcej pracował, czasem nawet w nocy. Mówił, że chodzi o przyspieszenie wykonania planu, czy coś takiego.

— Rozumiem. A czy w dniu katastrofy nie zdradzał objawów zdenerwowania? Czy nie dostał jakiegoś listu bądź wiadomości, której się nie spodziewał?

— Ależ nie! Jechał na giełdę sprzedać małego fiata, gdyż twierdził, że dwa samochody nie są nam potrzebne. Niedawno odebrał fiata 125p, którego kupił mu ojciec, wpłacając dewizy na PeKaO.

Dziękuję pani. To mi na razie wystarczy.

Uśmiechnęła się blado, dziecinnie. Warowskiemu wydało się, że westchnęła jakby z ulgą że ich rozmowa się skończyła. Odeszła lekkim krokiem, smukłonoga, w czarnych pończochach i lakierowanych, czarnych czółenkach.

Telefon, który stał na biurku, zadzwonił, wrywając porucznika z niezbyt wesołych rozmyślań.

— Leszek! — usłyszał podniecony głos Brońskiego. — Mam przed sobą ekspertyzę rozbitego przez Kazjera samochodu, który szedł właśnie do kasacji i w ostatniej chwili został przez nas zatrzymany. Rewelacyjna!

— Mów zaraz, co takiego?

— Przyjdź do mnie, to się dowiesz.

## XI

---

Teresa Molnicka obudziła się o wczesnym świcie. Zaledwie szarzało, ale zapowiadał się piękny, październikowy dzień, pełen rześkiego, aromatycznego powietrza, tak charakterystycznego dla polskiej jesieni. Mimo iż było tak wcześnie, nie chciało jej się spać. Zawsze przed każdym wyjazdem odczuwała podniecenie, tak zwaną *reise fieber* — gorączkę podróży, której nie mogła w żaden sposób opanować. Zapaliła małą lampkę nocną i przyjrzała się z upodobaniem swojej nowej walizce ze świńskiej skóry, którą nabyła przed kilkoma dniami, i po raz nie wiem który stwierdziła, że jest wyjątkowo foremna i okazała, a poza tym ma

wspaniałą właściwość rozciągania się w „harmonijkę”, niezwykle przydatną przy wożach zagranicznych. Jeden rzut oka wystarczy, aby sprawdzić, że wszystko jest w niej porządnie poukładane według precyzyjnego, od dawna sporządzonego planu. Przykucnęła teraz, aby ją zamknąć na miniaturowy kluczyk, po czym w kilku susach znalazła się w łazience pod orzeźwiającym prysznicem. Jeszcze łyk kawy, mała tartinka z masłem i dżemem, czyli śniadanie *a la Paris*, a potem spieszne już nakładanie uprzednio przygotowanej garderoby: brązowego, przeplatanego beżem tweedowego kostiumu, kawowej sportowej bluzki. Za chwilę pod blok powinna podjechać Krystyna Kazjer. Miały wyruszyć w drogę wcześniej, aby jeszcze przed zmrokiem przekroczyć granicę czechosłowacką.

Teresa przeciągnęła grzebieniem po Swych krótko przystrzyżonych loczkach i przypudrowała nos. Po dokonaniu łych czynności już z pewnym zdenerwowaniem, manifestującym się lekkim dreszczykiem na plecach, podeszła do okna i spojrzała w dół. Auta, stanowiące własność mieszkańców domu, stały w równych, karnych szeregach wzdłuż parkingu osiedlowego, połyskując różnokolorowymi karoseriami w brasku poranka. Stary, bezdomny pies rozpoczynał codzienną wędrówkę w poszukiwaniu jada i biegał z podwiniętym ogonem pomiędzy samochodami, poszczekując nieśmiało i żałośnie.

Teraz, kiedy miała już za sobą całą burzę, która rozpętała się w zespole na wieść o jej wyjeździe, czuła się zadowolona z podjętej decyzji. Nic było bowiem łatwo obdarzyć swych kolegów obowiązkiem zastępstw w rozlicznych procesach, które aktualnie prowadziła, mimo iż sama czyniła to bezustannie w imieniu innych adwokatów. Ponadto siwowłosy kierownik zespołu, będący uosobieniem porządku i dyscypliny służbowej, nie omieszkał uraczyć jej szeregiem uszczypliwych uwag w rodzaju: „Nie mogła sobie koleżanka wybrać gorszego miesiąca na urlop”, albo „że też musiało to nastąpić w okresie największego ruchu i wtedy, kiedy kolega Sietycki odchodzi na emeryturę”. Najbardziej niezadowolony był Mirek Wilczek, który zamierzał właśnie z najnowszą flama urwać się na tydzień do Zakopanego, ale w końcu wszystko przycichło, harmonogram zastępstw został sporządzony, wszelkie formalności paszportowe zostały uwieńczone powodzeniem, w związku z czym Teresa nabyła wyżej wspomnianą walizkę, spakowała rzeczy i myślami przebywała już na *Boulevard des Italiens* i *Boulevard des Capucines* w pobliżu sławnej Olimpii, w której właśnie w tym okresie miał śpiewać swoje dawne, ale nie pozbawione swoistego wdzięku piosenki Yves Montand.

Godzina, na którą umówiła się z Krystyną Kazjer, minęła już co spowodowało, że głowa Teresy automatycznym ruchem wychylała się bez przerwy za parapet okna. W pewnej chwili zza rogu ulicy prowadzącej do osiedla wyjechał granatowy fiat młodej wdowy. Teresa nerwowo chwyciła walizkę, jakby w obawie, że towarzysza jej za chwilę zdematerializuje się i rozplynie we mgle porannej. Sprawnie pozamykała wszystkie zamki u drzwi wejściowych i zjechała na dół.

Krystyna Kazjer oczekiwała ją oparta o auto. z papierosem w dłoni. Ubrana była w kurtkę z czarnych lisów<sup>1</sup>, czarną obcisłą spódnicę, na jasnych włosach nosiła maleńki toczek obrzeżony krótkim, przezroczystym welonem. Uśmiechała się jak zwykle blado i niepewnie, tak jak grzeczna pensjonarka, która boi się zostać skarcona przez swego wychowawcę.

— Dzień dobry, pani mecenas — powiedziała. — Cieszę się, że jedzie pani ze mną.

Otworzyła bagażnik i podniosła walizkę Teresy, aby ją w nim ulokować. Wykazała przy tym niespodziewaną siłę, dziwnie kontrastującą z jej wiotką, anemiczną postacią. Teresa zauważyła, że ręce jej są muskularne, a dłonie mimo wypielęgnowania zdradzają przyzwyczajenie do pracy fizycznej. Lecz przede wszystkim były to ręce dobrego kierowcy. Wszystkie jej manewry autem były lekkie, wprawne, niezawodne. Wyglądała, jakby była zrosnięta z kierownicą, kiedy wyprowadzała wóz na drogę.

— Pojedziemy szosą E—12 przez Błonie, Sochaczew, Łódź, Wrocław — powiedziała. — Mam nadzieję, że będziemy w Słonem koło piętnastej.

— Kiedy się pani zmęczy, chętnie panią zastąpię. — Teresa ściągnęła z ramion żakiet i odwróciła się, chcąc go rzucić na tylne siedzenie. Wtedy zauważyła jakiś kwadratowy przedmiot, owinięty szczelnie płóciennym pokrowcem, leżący na ciemnowiśniowym obiciu tylnej kanapy.

— Nie mogłam go włożyć do bagażnika — odezwała się spokojnie Krystyna, jakby chodziło o coś zwyczajnego, a może właśnie w ten sposób chciała pokryć ogarniające ją wzruszenie. Musiałam go tam położyć. Chyba nie będzie to pani przeszkadzało.

Teresa poczuła dreszcze wzdłuż kręgosłupa, w ferworze przygotowań do wyjazdu i fascynacji wizją Paryża prawie zapomniała o niemiłym dodatku w postaci towarzyszących im prochów skremowanego nieboszczyka. Na razie postanowiła nie patrzeć w kierunku tego czegoś, co prawdopodobnie było opakowaną, metalową urną, a potem miała nadzieję całkowicie oswoić się z jej obecnością w aucie.

Przez dłuższy czas jechały w zupełnym milczeniu. Pola, lasy, szosy uciekały spod kół jak w nieprzerwanym, nie kończącym się korowodzie. Teresę w pewnej chwili ogarnęła senność. Mogła sobie pozwolić na chwilę drzemki i odprężenia, w przeciwieństwie do Krystyny, która nieustannie paliła papierosy, aby nie dopuścić do sekundy dekoncentracji. We wnętrzu wozu zrobiło się duszno i gorąco. Krystyna uchyliła boczną szybę i pęd orzeźwiającego, świeżego powietrza owiał twarz Teresy.

— Czy mecenas Wrzawa—Sielicki pisał ponownie do pani? — zapytała, aby przerwać panującą pomiędzy nimi ciszę.

Krystyna wydawała się tak pochłonięta prowadzeniem auta, że nie odpowiedziała od razu i Teresa musiała ponowić pytanie. Dopiero wtedy zwróciła do niej twarz, która wydawała się jeszcze bledsza, jakby napięta drążącym ją wewnątrz cierpieniem. Niecierpliwym mchem zdjęła toczek z głowy i rzuciła go na tylne siedzenie tak, że welon nieomal przykrył leżący tam przedmiot.

— Mecenas pisał do mnie jeszcze raz — powiedziała wolno, zapalając kolejnego papierosa. — Zdaje się, że tamtejsi spadkobiercy zaczynają się niecierpliwzić. Chcieliby jak najszybciej sfinalizować sprawę. Całe szczęście, pani mecenas, że pani ze mną jedzie. Bez pani na pewno nie dałabym sobie rady.

— Myślę, że mój francuski kolega, a nasz rodak, nie dałby pani skrzywdzić. Ostatecznie musi działać zgodnie z literą prawa.

— Ach, on jest świetnie opłacony — Krystyna skrzywiła usta w ironicznym uśmiechu. Czy nie przeszkodzi pani, że włączę radio? — zapytała po chwili.

Wnętrze wozu wypełniła głośna muzyka w stylu country. Teresa w pewnej chwili kątem oka spojrzała na urnę, jakby chcąc sprawdzić, czy duch skremowanego nie sprzeciwi się tego rodzaju popisom w jego obecności, ale ponieważ nic takiego nie nastąpiło, a wdowa wydawała się uspokajać przy dźwiękach muzyki, więc nie zaprotestowała ani słowem.

Mimo iż Krystyna nic przejawiała większej chęci do rozmowy, skupiając raczej uwagę na prowadzeniu auta, podróż mijała względnie szybko. Oczywiście młode kobiety wymieniały między sobą różne uwagi i spostrzeżenia, ale nic wybiegały one poza ramy konwencjonalnych i zdawkowych uprzejmości. W okolicach Łodzi Krystyna zaprosiła Teresę do przydrożnego zajazdu na kawę z chrupiącymi bułeczkami, stawiącymi specjalność tego zakładu.

Po przebyciu następnych kilkudziesięciu kilometrów dziewczyna zaczęła zdradzać coraz bardziej rosnące zdenerwowanie, potęgujące się z minuty na minutę. Stale odwracała się za siebie, zapalała jednego papierosa od drugiego, rzucając ledwo napoczęte carmeny do wypełnionej po brzegi popielniczki. Nie mo-

gło to ująć uwagi Teresy, toteż w pewnej chwili, kiedy jej towarzyszka zwiększyła nieomal maksymalnie szybkość, zapytała:

— Czy coś panią niepokoi?

— Ktoś stale za nami jedzie — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. — Nie lubię tego — dodała po chwili, jakby chcąc się w ten sposób usprawiedliwić.

Molnicka odruchowo odwróciła głowę. W odległości kilkudziesięciu metrów widać było popielatego fiata, a ponadto szereg innych wozów, wyprzedzających się wzajemnie w tempie zależnym od umiejętności kierowcy.

— Czy to ten szary? — zapytała. Krystyna skinęła głową i nagle bez uprzedzenia, tuż po zakręcie, skręciła gwałtownie w bok i wjechała w leśną dróżkę, zatrzymując się dopiero w gąszczu drzew. Upłynęło kilka minut, zanim wyjechały ponownie na szosę. Teresie przemknęło przez głowę kilka niezbyt przyjemnych myśli. Przede wszystkim: kogo tak dalece obawiała się Krystyna, że za wszelką cenę chciała uniknąć spotkania w biały dzień na zaludnionej drodze? Czyżby ta podróż w aureoli żałoby nie była tylko wyprawą, mającą na celu złożenie szacownych szczątków jej nieszczęsnego skremowanego małżonka do rodzinnego grobu w Paryżu? Z nawyku zawodowego zaczęła o tym myśleć — nie mogła nad tym przejść do porządku dziennego. W końcu nic miała najmniejszego zamiaru zostać wplątana w jakieś niezwykle przygody, a co najmniej osobiste konflikty młodej wdowy, która właśnie wprawną ręką wykonała wprosi cyrkowy manewr wozem i rozejrzawszy się wokoło powiedziała z ulgą:

— Zdaje się, żeśmy im uciekły.

Teresa w pierwszym odruchu miała zamiar zażądać, aby Krystyna natychmiast zatrzymała auto, wysiąść pośrodku drogi i przy szczęśliwym zbiegu okoliczności dotrzeć autobusem do domu, albo przynajmniej do najbliższej stacji kolejowej. Jednak bezzwłocznie zreflektowała się, że takie zachowanie mogło zostać poczytane przez jej towarzyszkę za atak hysterii. Był przecież jasny, słoneczny dzień, dokoła pełno domów. W torebkach ich znajdowały się dokumenty, upoważniające je do przekroczenia granicy. Wobec tego Teresa zamiast drastycznego posunięcia, jakiego zamierzała dokonać, zapytała tylko:

— Czego się pani obawia?

Krystyna znów miała wygląd małego, zatrwożonego dziecka, ciężko doświadczonego przez okrutny los, lecz głos jej brzmiał niespodziewanie pewnie i spokojnie.

— Tyle słyszałam o chuligańskich wybrykach, szczególnie ze strony wyrostków, którzy napadają na drogach samotne kobiety... Nie chciałabym, aby nas coś takiego spotkało. podobno właśnie atakują samochody...

Teresa poczuła zawstydenie, że samodzielnie nie doszła do tak prostego wniosku. Gratulowała więc sobie w duchu, że nie dała się ponieść podszeptowi rozhuśtanej wyobraźni i nie urządziła przedstawienia na środku szosy.

Odtąd podróż przebiegała w zupełnym spokoju. Teresa zupełnie zapomniała o incydencie z szarym fiatem, a monotonny szum motoru i delikatny szum powietrza usposabiały ją raczej sennie i rozleniwiająco.

Musiało upłynąć dużo czasu, zanim wyrwała się z odrętwienia. Sądząc po godzinie, którą ujrzała na swoim zegarku, powinny właśnie znajdować się niedaleko przejścia granicznego. Tymczasem stwierdziła ze zdziwieniem, że przebywają znów pośrodku gęstego lasu, na mało uczęszczanej, pustej teraz drodze, a samochód coraz bardziej zwalnia swój bieg i nieomal przystaje. Chciała coś powiedzieć, ale język jej jakby przywarł do podniebienia. W lesie panował półmrok, wysokie drzewa lekko poruszane wiatrem zdawały się

przygważdżać auto do ziemi, rosnąc i jakby malejąc na przemian. Zrozumiała, że jest to złudzenie, spowodowane dziwnym stanem, w jakim się znajdowała. Całą siłą woli spróbowała otrząsnąć się z niego i po dłuższej chwili osiągnęła pozytywny skutek: poczuła się prawie normalnie, odzyskała równowagę i sprawność ruchów, tylko głowa bolała ją niesamowicie.

— Czy nie jedziemy w kierunku granicy? — zapytała, usiłując nadać głosowi naturalne brzmienie.

Krystyna drgnęła jakby zaskoczona, ale równie dobrze mogło to być jedno z tych iluzorycznych wrażeń, których przed chwilą doznała.

— Wydawało mi się, że pani mecenas źle się czuje. Nie mogłam się pani dobudzić. Pomyślałam wtedy, że dobrze byłoby, żeby pani napiła się mocnej kawy. Tu gdzieś w pobliżu jest motel. Byłam tu już w nim parokrotnie, ale jakoś nie mogę teraz trafić.

„Psiakrew pomyślała Teresa, stwierdzając, że jej umysł pracuje już zupełnie bystro i trzeźwo, być może nawet trzeźwiej niż zwykle, jakby z pewną dozą nadwrażliwości percepcyjnej. — Że leż akurat teraz musiałam rozkleić się jak stara baba. Powinam była raczej pomóc leż małej w prowadzeniu wozu, musi być przecież porządnie zmachana, a tu tymczasem coś się ze mną stało. Tylko co? Przecież jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyłam na własnej skórze czegoś podobnego. Jakieś zatrucie, czy co? Chyba w tym cholernym zajeździe coś mi podano. Ale przecież to niemożliwe. Piłam tylko kawę i jadłam te świetne bułeczki”.

Samochód nagle przystanął.

—Może wysiadzimy nu chwilę — powiedziała Krystyna. — Powietrze dobrze pani robi.

— Chyba tak — zgodziła się Teresa otwierając drzwiczki wozu. Były na dość dużej polanie, obrzeżonej ze wszystkich stron wysokimi drzewami. Panował tu przyjemny chłód i półmrok, choć zachodzące słońce kładło się na wierzchołkach drzew jasnymi smugami.

Dziewczyna znów zapaliła papierosa, zrzuciła z ramion kurtkę z lisów, zostając tylko w czarnym, angorowym sweterku z krótkimi rękawami. Swoim zwyczajem oparła się o karoserię auta. I wtedy na skraju polany pojawiło się troje ludzi: dwie kobiety i mężczyzna. Szli powoli, prawie majestatycznie, zupełnie nie śpiesząc się, a może w ten sposób rozgrywała się ta scena w odczuciu Teresy, jak kadr z filmu w zwolnionym tempie. Mimo znacznej odległości Teresie wydało się, że rozpoznaje chód jednej z kobiet: zwiewny, delikatny, jakby oderwany od ziemi, tak właśnie poruszała się tylko jedna ze znanych jej osób, ale przecież absurdem było, żeby mogła się tu znajdować. Jednak w miarę przybliżania się poznawała ją nieomylnie: smukłą, giętką, doskonałą w każdym ruchu. Kiedy stanęła naprzeciw niej, trudno było uwierzyć, że w tych trójkątnych, złotych, przezroczystych oczach może zawrzeć się tyle zimna i nienawiści, a twarz o rysach lalki z sewskiej porcelany zamienić w nieruchomą, zastygłą okrucieństwem maskę. Druga kobieta, wysoka, o czarnych, krótko przystrzyżonych włosach, nosiła ciemne okulary i zachowywała się tak, jakby odbywała popołudniową przechadzkę. Obydwie ubrane były w jasne, spięte paskami prochowce.

Mężczyzna, który trzymał się za nimi w ukryciu, wysunął się nagle naprzód i roześmiał głośno:

— No, panienki, proszę oddać dokumenty i szybko się przebrać. Tylko żebym nie musiał się na was gniewać — błyskawicznym ruchem wyszarpnął torebkę z rąk Teresy i rzucił im na ziemię dwie spódnice i bluzki.

— No, mała — zwrócił się do Krystyny — co się tak gapisz? Czyżbyś mnie nie rozumiała?

Z Krystyną istotnie działo się coś niedobrego. Wyglądała na półprzytomną, a w oczach jej odmalował się szaleńczy strach. Cała ta scena, a być może tylko rola, którą miała w niej odegrać, stanowiła dla niej najwidoczniej szokujące zaskoczenie.

— Przecież ja... — wykrztusiła — ...przecież ze mną... miało być inaczej. Ja miałam jechać...

— Tak — zarechotał mężczyzna ale zmieniliśmy plany. To ty właśnie zostajesz.

W okamgnieniu, jakby rozumując grozę swego położenia. Krystyna szarpnęła drzwiczki samochodu, w sekundę znalazła się wewnątrz i usiłowała w nieprzytomnym pośpiechu uruchomić silnik. Cały ten manewr okazał się daremny. Mężczyzna wywłókł ją błyskawicznie z auta. postawił na nogi i przymierzając się z sadystyczną przyjemnością do ciosu uderzył ją kilkakrotnie na płask wierzchem dłoni w twarz, aż przysiadła i pozostała tak na chwilę skulona.

— No, pani mecenas — nieustępliwy prześladowca natarł z kolei na Teresę. — Nie ma się co ociągać. Niech pani wyskakuje ze swoich ciuchów, przydadzą się tej pani — wskazał na wysoką brunetkę. — Tylko raz, dwa. Pani widzi, że ja nie lubię żartować.

— Może się pan chociaż odwróci — powiedziała Teresa, chcąc w jakiś sposób zyskać na czasie

— No, widzisz, mała — odezwał się znów do Krystyny. — Pani mecenas jest rozsądna. Wie, że ze mną nie warto się spierać. No. jazda! — zamachnął się i kopnął ją.

Kilka chwil przebierały się w milczeniu. Dla Teresy zdawały się wiecznością, gdyż w tym czasie mózg jej pracował ze zwielokrotnioną intensywnością nad sposobem wybrnięcia z sytuacji.

— Proszę pana — powiedziała po co ta cała maskarada? Nie wiem. co pan ma zamiar dalej robić, ale przecież żyjemy w cywilizowanym świecie i możemy się porozumieć. Jestem gotowa wraz z panią Kazjer zrezygnować z tej podróży i oddać panu paszporty. Tylko bardzo wątpię, czy zdoła je pan wykorzystać w ten sposób, jak pan myśli, ale to już pana sprawa. W' każdym razie mam nadzieję, że pan nas puści wolno.

— Dosyć! — warknął. — Niech pani nie zapomina, że to nie kancelaria adwokacka i nikt nie potrzebuje pani rad. Jeżeli bym panią puścił, z najbliższej budki zatelefonowałaby pani na milicję. Znam was. mecenaski zwariowane. Niestety, muszę pani zamknąć buzię i to być może, na zawsze. Zaprowadzę was, ptaszyny, w takie miejsce, skąd niełatwo się wydostać i chyba nawet wilki was nie odnajdą, chyba żeby miały dobry apetyt.

— Tylko zwiąż je dobrze, one są bardzo sprytne — czysty, metaliczny głos Wiry Karkowiakowej przeciął jak smagnięcie bata powietrze. — I nie zapomnij zalepić im ust plastrem.

— Spokojna głowa, nie masz się o co niepokoić, już ja je załatwię — odpowiedział. — No, co? Jeszcze nie jesteście gotowe?

— Wiro! — Teresa zdecydowała się nagle zwrócić bezpośrednio do Karkowiakowej. Powiedz mi. dlaczego to robisz.

Zapytana wystąpiła naprzód i stanęła przed nią z rękoma w kieszeniach. W jej oczach, zazwyczaj pełnych zadumy i melancholii, błyszcza! niemal fanatyczny ogień, a na matowe policzki spłynął krwawy rumieniec.

— Pytasz, dlaczego to robię? Dlatego, że cię nienawidzę. Zniszczyłaś mi życie dla własnej kariery, pozbawiłaś praw do jedyne go człowieka, którego na tej ziemi kochałam, umiejętnie otumaniałaś sąd swoim rozumowaniem, swą zimną, bezwzględną logiką, która pokazywała, że należy mnie z nim rozłączyć. Nie zapomniałam ci tego nigdy. Przez ciebie musiałam cierpieć, znosić przy sobie obecność tego wstrętnego człowieka, który był moim drugim mężem, żyć z nim, oddychać jednym powietrzem. Nie mógł mi dać nawet tego. czego tak pragnęłam: pieniędzy. Był na to zbyt głupi, nędzny, tchórzliwy. Dlatego musiał zginąć. A wiesz, dlaczego tak potrzebuję pieniędzy? Nie na stroje i inne kaprysy, tylko po to, żeby się zemścić,

mścić dalej, żeby ręka sprawiedliwości dosięgła tych, którzy mnie unieszczęśliwili, żeby tamten przestał być tak obrzydliwie szczęśliwy i pewny siebie. Wyjadę za granicę, będę bogata, znajdę go. będę mogła sobie na wszystko pozwolić, być równą pozycją, położeniem! Postaram się o to!

Wydawało się teraz, że mówi sama do siebie, że trawi ją jakiś wewnętrzny ogień, który lada chwila może ją spalić i zmienić w garstkę popiołu.

„Ona jest nienormalna” — pomyślała Teresa i nie zdążyła dokończyć myśli. Z szumem i wyciem syren wjechały nagle na polanę trzy samochody, wśród nich popielaty fiat. Wyskoczyło z nich kilkunastu umundurowanych funkcjonariuszy milicji, otaczając ich ze wszystkich stron. Teresa zdążyła jednak zobaczyć, że współnik Wiry wyciągnął z kieszeni rewolwer, usiłując jednocześnie chwycić ją wpół. Ale wyrwała mu się i krzyząc „Ty głupcze!”, pobiegła w kierunku jednego z wozów milicyjnych. Wtedy mężczyzna oddał w jej kierunku kilka strzałów. Na jej białym prochowcu w okolicy pleców wykwitła olbrzymia, czerwona plama. Karkowiakowa przystanęła, potem zrobiła jeszcze dwa kroki i upadła na ziemię.

## XII

---

„Pół czarnej” pachniało subtelnie i aromatycznie. Dzięki tym walorom kawy Teresa najchętniej uczęszczała do owej małej, zacisznej kawiarenki na Starym Mieście, której przyćmione wnętrze, wypełnione małymi, kolorowymi stolikami i fotelami usposabiało do długich, poufnych rozmów,

Tyto razem spotkanie, na które przybyła, nic miało wyłącznie relaksowego charakteru, gdyż towarzyszem jej był porucznik Leszek Warowski, który właśnie usłużył jej cukierniczkę. Ponieważ znajomość ich trwała już dość długo, oboje uznali za oczywiste, że tego rodzaju lokal będzie najodpowiedniejszym miejscem do rozmowy, na którą Teresa oczekiwała płonąć z niecierpliwości.

Kilka miesięcy bowiem upłynęło już od tragicznej sceny, która rozegrała się na leśnej polanie, sceny ukoronowanej aresztowaniem przestępców i śmiercią Wiry Karkowiakowej, a Teresa miała zaledwie mglisty obraz całokształtu sprawy— i raczej domyślała się niż była pewna najistotniejszych jej elementów.

— No cóż, pani mecenas — zagai! porucznik po wymianie kilku okolicznościowych frazesów — sądzę, że chciałaby pani poznać szczegóły tej ponurej afery, w którą została pani tak mocno i nieoczekiwanie wplątana. Nic widzę przeszkód. Śledztwo zostało już ukończone, przeciw głównemu sprawcy wszystkich zbrodni, Zenonowi Wilczkowi, jak również współdziałającym z nim i udzielającym mu pomocy Barbarze Matyckiej oraz Krystynie Kazjer vel Iwonie Śliwównie został skierowany do sądu akt oskarżenia, mogę więc panią wprowadzić we wszystkie szczegóły.



— Będę panu bardzo wdzięczna. Zanim jednak zacznie pan mówić na ten temat, bardzo proszę powiedzieć mi jedno: czy w urnie, przewożonej przez nas samochodem, znajdowały się istotnie prochy Piotra Kazjera?

— Oto ciekawość iście kobieca. Od razu domaga się pani wyjaśnienia całej zagadki — uśmiechnął się porucznik. —: No, ale nie będę pani trzyma! w napięciu. Nie, oczywiście nie. Piotr Kazjer został wprawdzie uroczyście skremowany w Poznaniu, ale obawiam się, że popioły jego rozwiały przydrożny wiatr, natomiast w urnie znajdowały się sprytnie przemywane do Francji wspaniale przeszlifowane wielomilionowej wartości brylanty.

— O, mój Boże — westchnęła Teresa. — A ja odnosiłam się do niej z takim pietyzmem.

Warowski pominął tę uwagę milczeniem i ciągnął dalej:

— Cała sprawa ma swój początek w Nigerii, gdzie Wilczek, posługujący się notabene różnymi dokumentami, wystawianymi na rozmaite nazwiska, często zmieniając narodowość, pracował na prywatnych kontraktach u tamtejszych bogatych przedsiębiorców, a następnie wywąchawszy u jednego z nich ukryte bezcenne brylanty dokonał zuchwałej i udanej kradzieży, po czym uciekł z nimi za granicę. Do spółki dopuścił jednego ze swych współpracowników, Turka, któremu zlecił załatwienie transakcji z odbiorcami na terenie Francji i Holandii, a sam powrócił do Polski celem dokonania obróbki brylantów, podzielenia ich na części i tak dalej. Zdawał sobie bowiem sprawę, że kradzież ta może nabrać międzynarodowego rozgłosu, co stało się istotnie, gdyż od dłuższego czasu interesuje się nią Interpol.

W Polsce zaangażował się do pracy w spółdzielni „Szlachetny Szlif, gdzie zyskał opinię dobrego, ale niezdyscyplinowanego fachowca, a ponieważ w Nigerii posługiwał się paszportem nieżyjącego już Serba, było małe prawdopodobieństwo, aby organa ścigania szybko wpadły na jego trop. Spółdzielnia „Szlachetny Szlif” była wyposażona w znakomite urządzenia szlifierskie i maszyny z importu, postanowił więc wykorzystać je do końcowej obróbki kamieni. Nie mógł jednak działać sam, musiał dobrać współników. Przede wszystkim otoczył tak zwaną opieką nieletnią dziewczynę, uciekinierkę z domu poprawczego Iwonę Śliwównę, którą omotał w taki sposób, że stała się od niego całkowicie zależna i nad którą znęcał się fizycznie i moralnie, nie wtajemniczając jej w swoje plany. Po prostu wydawał jej rozkazy, wabiąc jednocześnie wizją „dolarowej” przyszłości. Przewidział, że ładna i bezwolna dziewczyna przyda się niejednokrotnie w różnych machinacjach. I nie omylił się. W spółdzielni pracował Polak pochodzenia francuskiego. Piotr Kazjer, dobry szlifierz, ale jako człowiek mało komunikatywny. Wilczek wyczuł w nim od razu żądzę posiadania wielkiej fortuny, bez względu na drogi, jakie miały prowadzić do osiągnięcia tego celu—Piotr Kazjer był ociężały, małowówny. Wilczek był pewien, że taki nie zdradzi nikomu powierzonej mu tajemnicy. Namówił go więc do ożenku z Iwoną Śliwówną, którą tymczasem zaopatrzył w dokumenty, stanowiące własność zamordowanej w swoim czasie innej dziewczyny. Pozostaje tajemnicą, dlaczego Kazjer przystał na ten ożenek. Być może Wilczek przekonał go, że Śliwównie jako żonie łatwiej będzie jeździć do Francji w roli łączniczki, choćby pod pretekstem odwiedzenia rodziny. A może spodobała mu się i uznał za możliwe w przyszłości przekształcenie tego fikcyjnego małżeństwa w prawdziwe? W każdym razie z chwilą zawarcia małżeństwa z Iwoną los jego został przesądzony. W umyśle Wilczka powstał plan uśmiercenia go, a następnie przewiezienia brylantów do Francji w urnie zawierającej rzekomo jego prochy. Do tego celu potrzebni mu byli oboje z Iwoną tylko jako narzędzia. Ze względów technicznych dobrał jeszcze do pomocy upośledzonego na umyśle, ale dobrego szlifierza Stanisława Podkowę. Z tym nietrudno byłoby mu się rozprawić. Mógł zginać w każdym przydrożnym rowie, był przecież psychicznie chory.

W czasie pracy w spółdzielni Wilczek nawiązuje romans z główną księgową Barbarą Matycką, starzejącą się, ale jeszcze dość atrakcyjną kobietą, której uczuciem zawładnął całkowicie. Trzeba przyznać, że Wilczek umiał postępować z ludźmi. Uosabiał tak zwane talenty towarzyskie; pił, stawiał, fundował, zapra-

szał, rzucał pieniędzmi, a był jeszcze młody i przystojny, a przy tym wolnego stanu. Związek z Matycką był mu potrzebny. Przewidywał, że ta stateczna, o nieposzlakowanej opinii niewiasta może mu w niedalekiej przyszłości posłużyć jako „żelazne alibi”. Miłość i zaślepienie mogą czynić najrozmaitsze przeobrażenia w ludzkiej psychice. Matycka orientowała się, że Wilczek jest przestępcą, ale za żadną cenę nic chciała go stracić, raczej postanowiła ślepo go słuchać i wstąpić na tę samą co on drogę. Taka współniczka była mu potrzebna.

Tymczasem w życiu jego nastąpił niespodziewany zwrot. Spotkał Elwirę Karkowiakową. Uroda jej oszołomiła go, nigdy jeszcze nic miał do czynienia z tak piękną, niezwykłą kobietą. Kiedy ją ujrzał na jakiejś akademii w spółdzielni, nie mógł oderwać od niej wzroku. Miał nieprzewartą chęć uczynić rogasza z dętego, głupiego w jego pojęciu prezesa, w którym wyczuwał potencjalnego przeciwnika, mogącego pokrzyżować jego przestępcze plany, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Od dawna orientował się, że jest „na celowniku” prezesa, nie znoszącego najmniejszych przejawów samowoli i niezdyscyplinowania ze strony pracowników.

Ponieważ musiał z konieczności przenieść część prac nad obróbką skradzionych kamieni na teren spółdzielni, do hali numer pięć, gdzie znajdowała się precyzyjna, niezbędnie mu potrzebna importowana szlifierka, nad wyraz pożyteczne byłoby dla niego uzyskanie bliższych informacji na temat prezesa, aby móc w razie czego spróbować szantażu. Dzięki swemu węchowi znów odgadł, że z małżeństwem prezesa związana jest jakaś tajemnica, że jego żona nie może go kochać. Zaryzykował nawiązanie kontaktu z Karkowiakową i ku swemu nieopisanemu zadowoleniu natrafił na podatny grunt. W czasie śledztwa przyznał, że zdziwiła go siła nienawiści Karkowiakowej do męża. Z sadystyczną niemal przyjemnością przekazała mu ona znaleziony przypadkowo w papierach męża odpis wyroku, jaki w przeszłości otrzymał Karkowiak, a także opowiedziała o zdegenerowanej córce Danucie, która większą część życia spędziła w zakładach karnych...

— Jeżeli można panu wejść w słowo, panie poruczniku, proszę mi powiedzieć, dlaczego Stefan Karkowiak zginął, nic wątpię bowiem, że padł z ręki tej szajki. Czy stało się to wyłącznie za inspiracją Wiry?

— No, niezupełnie. Wydaje się, że Wilczek nie miał zamiaru parać się tak zwaną „mokrą robotą”. Jednak Karkowiak znany ze swej nadgorliwości służbowej trafił na ślad prowadzonych potajemnie na terenie spółdzielni przez Wilczka robót, mało tego, zdobył konkretny dowód, że Wilczek szlifuje niewiadomego pochodzenia brylanty w hali numer 5. zagroził mu wyrzuceniem z pracy i powiadomieniem o tym organów ścigania. Tym podpisał na siebie wyrok. Wilczek postanowił go zabić, uwalniając jednocześnie Elwirę od zniechęconego męża i pozbywając się niebezpiecznego wroga. Iwona Śliwówna została podstawiona, aby przez telefon odegrać rolę córki Karkowiaka, Danuty. Zwabiła go do Lasu Kabackiego.

— Więc to Wilczek zabił Karkowiaka?

— Tak, przyznał się do tego, choć pierwotnie mocno chronił go alibi Matyckiej. Dlatego śledztwo w pierwszej fazie nie dawało rezultatów, chociaż zbieg różnych faktów: tragiczna śmierć Kazjera, niezaprzeczalny fakt istnienia konfliktu między nim a Karkowiakiem, obciążające zeznania sekretarki i dozorczy nocnego, niedwuznacznie wskazywały na Wilczka jako na potencjalnego sprawcę morderstwa. Niewątpliwie elementem wprowadzającym nas w błąd było uznanie przez nas wypowiedzianego przez Karkowiaka słowa „hala” za imię kobiety. Ważnym momentem w śledztwie było zdobycie informacji o dacie śmierci córki Karkowiaka, ale punkt zwrotny stanowił wynik ekspertyzy szczątków samochodu, w którym zginął Kazjer, okazało się bowiem, że w układzie kierowniczym został celowo nadpiłowany drążek sterowniczy, który przy dużej szybkości pękł, co spowodowało katastrofę. Ekspertyza wykryła rozmyślne mechaniczne uszkodzenie, którego autorem oczywiście był człowiek zainteresowany w zgładzeniu Kazjera. Odtąd Wilczek i osoby z nim związane zostały wzięte pod obserwację.

— Wiem. popielaty fiat. który jechał za nami. Ale. panie poruczniku, niech mi pan wyjaśni, dlaczego ja zostałam w ogóle wplątana w to wszystko i dlaczego Wilczek pragnął mnie zgładzić?

— Domyślam się. że jest to dla pani najciekawszy i najdrażliwszy moment w całej tej sprawie. Mam wrażenie, że było tu kilka motywów: obecność pani. znanego adwokata, dodawała splendoru i powagi całej tej podróży, sankcjonowała ją niejako od strony prawnej, aczkolwiek wszystkie inne dokumenty i tak były bez zarzutu. Druga rzecz — potrzebny był pani paszport, aby Barbara Matycka mogła przekroczyć granicę. Od dłuższego czasu charakteryzowała się ona na panią, przynajmniej jeśli chodzi o uczesanie, makijaż, sposób ubierania się i tak dalej. Ale przede wszystkim w ten sposób Elwira Karkowiakowa zamierzała dokonać aktu zemsty na pani. Dlatego wybrała właśnie panią spośród wszystkich adwokatów i wskazała Wilczkowi. Sprawa Elwiry Karkowiakowej to osobny tragiczny rozdział w całej tej smutnej historii. Dla kobiety tej nie istniało nic poza obsesją zniszczenia swego byłego męża, reżysera Ledzicy. To był jedyny cel jej istnienia. Musiała kochać go do szaleństwa i po rozwodzie z nim uległa chorobie na tym tle, a część tej nienawiści przerzuciła na panią.

— Ale przecież z własnej i nieprzymuszonej woli wyszła za Karkowiaka i grała rolę oddanej i kochającej żony.

Tak, ale to był jeden ze środków, za pomocą których chciała zrealizować swoje plany.

Nie mogła pracować, a chciała zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy, aby wyjechać w ślad za nim za granicę, błysnąć przed nim bogactwem, znaleźć się w jego otoczeniu, a kto wie... może go zabić? To wynika przynajmniej z całokształtu jej postępowania i z ostatnich słów, które powiedziała do pani przed śmiercią. Jak widać Karkowiak zawiódł ją. był uczciwym, zwykłym, skromnym człowiekiem, dlatego złożona przez Wilczka propozycja wyjazdu za granicę z ogromną fortuną została przez nią przyjęta w całej rozciągłości.

— No dobrze, ale Matycka? Przecież Matycka miała też wyjechać do Paryża?

— Wilczek zbyt dobrze znał kobiety, aby nie obawiać się zemsty ze strony podstarzałej, zazdrosnej przyjaciółki. Wolał dalej odgrywać komedię wobec niej. nawet zabrać ją ze sobą, a potem pozbyć się jej przy najbliższej okazji, a związać się całkowicie z Karkowiakową.

— Ale czy obie kobiety nie mogły zupełnie legalnie wyjechać za granicę bez uciekania się do zbrodni?

— Było to możliwe przed zamordowaniem Karkowiaka. śledztwo prowadzone w tej sprawie w pewnym sensie stawiało je w kręgu podejrzenia. Miały zakaz chwilowego opuszczania Polski. Śmierć Karkowiaka w gruncie rzeczy pokrzyżowała ich plany, nie leżała w tch programie. Przy okazji Wilczek postanowił zlikwidować Śliwównę. gdyż ta dziewczyna zbyt dużo o nim wiedziała.

— A właśnie, jeśli chodzi o Śliwównę. Mimo iż odegrała wobec mnie tak podstępą rolę, a nawet bez wątplenia dosypała jakiś środek usypiający do kawy w czasie podróży, szczerze mi jej żal. To właściwie jeszcze dziecko. Myślę, że zajdą w stosunku do niej okoliczności łagodzące.

— I ja tak myślę, ale o tym zadecyduje sąd.

— Czy pan uważa, poruczniku, że Wilczek miał jakieś szanse uniknięcia odpowiedzialności? Przecież od początku wszystkie poszlaki wskazywały na niego jako na sprawcę.

— Powiem szczerze. O ile ekspertyza szczątków samochodu nie dałaby tak rewelacyjnego wyniku, albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, nie udało się jej w ogóle przeprowadzić, zostałyby tylko poszlaki i nic więcej. Nie można było zupełnie znaleźć nici wiążących Śliwównę bądź Karkowiakowa z Wilczkiem, wszystko było doskonale zakamuflowane, główny wspólnik nie żył, Matycka dostarczyła niepodważalnego zdawać by się mogło alibi, a wyjazd Kazjerowej do Francji miał wszelkie podstawy prawne. Gdyby wszyst-

ko przyszło. Wilczek mógł wkrótce wyjechać za granicę, choćby z wycieczką „Orbisu”. W tym wypadku zgubił go pośpiech. Musiał działać szybko, gdyż jego kontrahenci zagraniczni domagali się bezzwłocznego sfinalizowania sprawy, a zrujnowany nabab z Nigerii szalał i naciskał Interpol o natychmiastową interwencję i pomoc.

— Bardzo dziękuję, poruczniku, za udzielenie mi wyczerpujących informacji. Myślę, że gdyby nie wasza interwencja, już dawno zjadłyby mnie wilki. Gnębi mnie tylko jedna myśl. Dlaczego Wilczek zabił Karkowiakową?

— Sądzę, że spowodowały to jej słowa wypowiedziane do pani. Wtedy zrozumiał, że go nie kocha, że nigdy się z nim nie połączy. Kiedy zaś zaczęła uciekać, zdecydował się ją zabić, wiedząc, że sam i tak znajduje się w sytuacji bez wyjścia. A teraz, pani mecenas, życzę pani dużo sukcesów w pracy zawodowej, choć brzmi to stereotypowo, jak również wyjazdu do Paryża w nieco przyjemniejszych okolicznościach, przynajmniej, bez urny ze skremowanymi zwłokami. I bardzo proszę, niech pani sobie na przyszłość uważnie dobiera przyjaciółki...